Numer 24. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 11 Czerwca 1933



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Troskliwy lekarz.

— Co panu brakuje?

— Proszę pana doktora, gdy się dotknę prawego biodra, bardzo mię boli...

— To poco go pan dotyka, skoro boli?

Mądry Wojtek.

M a c i e j: Ci ludzie, co przepowiadają zaćmienia słońca i księżyca, to musom być uceni.

W o j c i e c h: Et, głupstwa gadacie. A dyć oni czytajom wszyćko z kalendorza, bo tam o zaćmieniach wszyćko stoi.

W sądzie.

Sędzia, będąc u więźnia, pyta go:

— Ale, człowiecze, powiedz mi, jakie ty masz sumienie?

— Dziękuję panu — odpowiada więzień — jeszcze zupełnie dobre, bo dotychczas mało go używałem.

N a u c z y c i e l objaśniając kształt kuli ziemskiej, mówi:

— Ziemia jest podobna do tego ot jabłka.

M a ł y M a c i e k: Prosę pana prefesura, jakby ziemia taka była jak to jabłko, toby ją dzieciska dawno zezarły.

Przesada.

— Mój dziadek umarł, mając lat 106!

— A moja babka dożyła stodziewiątego roku!

— E... co mi tam powiadacie: ja mam krewnych, którzy dotychczas żyją!



Mały rzeczoznawca.

S y n: Tatusiu! Prawda to, że Prusaki to taki naród, co go można wszędzie poznać?

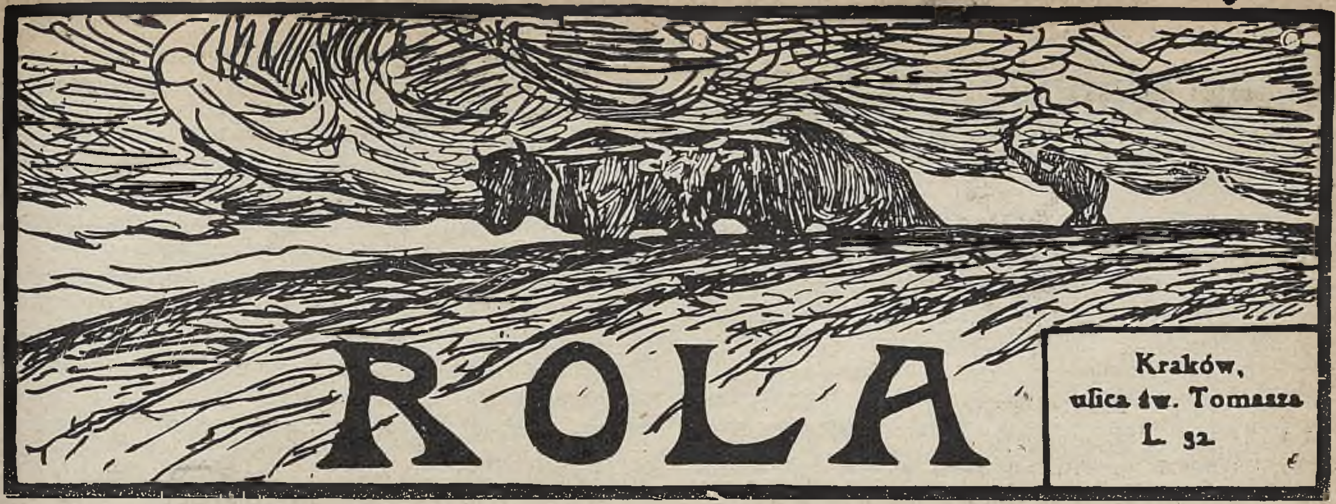
O j c i e c: A jakżebyś ty ich ta poznał, moje dziecko.

S y n: Ano, bo mają „marki" jak nasze wieprzki.

W jatkach.

C h ł o p i e c: Proszę mi dać dla pieska okrawków, tylko chude, bo tata nie lubi tłustego.

Numer 24. Rok XVI. Kraków, dnia 11 czerwca 1933.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1933: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

Miłość.

Każde indywiduum, z osobna wzięte, nie przedstawia pełnej idei człowieczeństwa, wymaga uzupełnienia jej jakby drugą połową swoją. Wzajemna dążność dwojga płci, dwóch połówek do połączenia się w całość i to wewnętrzne przekonanie, że tylko w takiem niepodzielnem złączeniu się można uznać się człowiekiem w zupełności, nazywa się miłością.

To pragnienie wtedy jedynie jest rzeczywistem, kiedy obie strony dosięgły należytego rozwoju fizycznego i duchowego. W pierwotnej postaci miłość jest wyrazem pobudki czysto fizycznej (zmysłowej); w dalszym dopiero rozwoju to uczucie rozbudza wszystkie organy duszy.

Miłość, obejmująca całą istotę człowieka, staje się miłością wieczną, gdyż w niej wszystkie cele życia duchowego znajdują ukojenie. Ale rzadko się to zdarza, aby rzeczywistość odpowiadała żądzom miłosnym, stąd rozpacz w miłości.

W życiu społecznem zwykle objawia się miłość w postaci zmysłowo-estetycznej podniety. Taka miłość trwa do chwili zupełnego jej przejawu; po zadowoleniu wyskoku namiętności, następuje natychmiastowe ochłodzenie, serce ustępuje rozsądkowi. Proces podobnej miłości objawia się z początku namiętnością gwałtowną, a po chwilowem upojeniu przechodzi w chłód, obojętność i zdradę. Stąd wytwarza się to smutne przekonanie, że już w osnowie miłości spoczywa zawiązek nieszczęścia, że chwila zadowolenia namiętności jest zarazem jej zagładą.

Druga, również ważna przyczyna psująca harmonję całości, zawiera się w zbyt jednorodnych naturach kochanków. Kobiety odznaczające się hartem duszy, siłą woli, kochają zwykle mężczyzn słabego charakteru, ulegających i przeciwnie. Z tej przyczyny miłość pomiędzy znającymi się dokładnie, nigdy nie może osiągnąć należytego rozwoju, i małżeństwo między krewnymi, przyjaciółmi od dzieciństwa, rzadko kiedy bywają szczęśliwe. Jeśli do objawu prawdziwej miłości nie wystarczają pobudki zmysłowe, to z drugiej znów strony okazuje się niemożebną rzeczą wyłącznie czysta idealność. Mówimy tu o miłości platonicznej, to znaczy o ubóstwianiu płci drugiej w marzeniu, niedozwalającem przypuścić nawet możebności zbliżenia się do niej zmysłowego.

Z rozwojem sił fizycznych i duchowych objawia się pewne naprężenie w mózgu rdzeniowym, tworzy się w wyobraźni szkic postaci pięknej z przeciwną płcią i popęd do coraz częstszego i śmielszego rozmyślania o niej. W tym okresie kochankowie rozumieją się bez słów, jedno spojrzenie wystarcza za potoki słów, jedno westchnienie, oderwane słówko, staje się tłumaczem dusz. Pragnienie zbliżenia się rośnie coraz silniej, przez co wywiązuje się niecierpliwość, porywczość, brak logiki w mowie i czynie, słowem na wpół gorączkowy obłęd.

Jeżeli dążenie do połączenia się z ukochanym przedmiotem wytwarza tak zwane oczarowanie miłosne, to popęd ten, wstrzymany jakiemikolwiek przeszkodami, wywołuje smutek, udręczenie, tęsknotę i rozpacz. Jeżeli przeszkody te są zbyt silne, niepokonane, wtedy pojawia się zwątpienie i miłość przestaje w siebie wierzyć. Stąd łatwo pojmiemy, dlaczego stare panny nieraz nienawidzą kochających się i dlaczego z braku szlachetniejszych przedmiotów przywiązują się nawet do kotów, do psów, do rzeczy nieruchomych. Starzy kawalerowie kochają się w sztuce, w ideałach obywatelskich, lub rzucają się w objęcia ascetyzmu i fanatyzmu.

Mężczyzna w miłości jest zawsze nawpół egoistą, miłość jest jednym z celów jego życia. Z zakochanych młodzieńców i mężczyzn śmieją się. Miłość robi mężczyznę gadatliwym, gotowym ściskać wszystkich — kocha w kobiecie przeważnie piękność, zręczność, grację, i jest więcej zmysłowym. Dla kobiety miłość jest prawie jedynym celem życia, im dłużej ją piastuje w sobie, tem piękniejszą się staje, uczucie to rozwija w kobiecie siły fizyczne i moralne. Kobieta w miłości staje się poważniejszą, milczącą i ześrodkowującą się w samej sobie, a samo uczucie bardziej idealne. Konieczność miłości objawia się u kobiet wcześniej niż u mężczyzn.

Stanisław Saternus.

Zdrada wojewody Wincza.

Powieść historyczna.

(Ciąg dalszy).

W obozie pod Koninem już miara goryczy, jaką mógł wypić człowiek, zdawała się wypełnioną. Wojewoda czuł, że dłużej patrzeć na tę rzeź nie potrafi. Mówiono do niego — nie słyszał; zatopiony w sobie, szukał sposobu tylko, jakimby koniec swój przyśpieszyć.

Wieczór był późny, noc się zbliżała, pod szałasem wojewody ciemno się robiło, ze służby jego nikt nie przychodził; siedziała opodal, tuląc się od deszczu pod wozami.

W początku, gdy obóz rozbijano, czeladź chciała mu posłużyć, pytała o rozkazy; raz i drugi wojewoda ją rozpędził. Siedział więc teraz samotny, znieczulony, obojętny, jakiś pół senny, pół martwy, zbolały.

Tymczasem Włostek, który miał nad nim litość, nie pytając już o rozkazy, o kilka kroków kazał namiot rozbić, łoże posłać i nocleg przygotować.

Ze wszystkich, co byli przy wojewodzie, on jeden najlepiej, najdawniej go znając, najśmielszym był i gdy namiot rozpięto, zabezpieczywszy go sznurami od burzy, Włostek pod ciemny szałas wsunął się szukać pana.

Nic nie mówiąc, ujął go pod rękę. Wojewoda wstał i nie pytając, dokąd go prowadzi, poszedł za nim. W namiocie rzucił się na pościel i oczy wlepiwszy w małą lampkę, którą Włostek zapalić kazał, pozostał bezwładny. Jedzenia odmówił, napił się trochę wody brudnej.

Porzucono go tam samym, bo nikt się już do niego nie zgłaszał, nikt i widzieć nie chciał. Ze wszystkimi zwaśniony był.

Wojewoda ze znużenia drzemać począł, lecz zaledwie sen zamykał mu oczy, jakiś przestrach je otwierał: rzucał się, oglądał, trwożył. Raz i drugi za miecz chwycił i odrzucił go precz.

W tem zaszeleściało coś około namiotu, opłotki i zasłona się podniosła; wysoki mężczyzna, obwinięty opończą z kołnierzem stojącym, którym twarz była całkiem zakryta, ostrożnie wślizgnął się do namiotu.

Wszedł, przystanął w progu, obejrzał się i widząc wojewodę, który za miecz ręką drżącą pochwycił, — nie poruszył się tem ani uląkł, pozostał obojętnym.

Wincz siadł na łożu.

Wnijście to człowieka z zakrytą twarzą zdawało się go przestraszać. Zwolna przybyły odrzucił kołnierz, który mu krył oblicze, zdjął czapkę na czoło nasuniętą. Wojewoda poznał Dobka Nałęcza, którego od ostatniej z nim rozmowy i rozbratu w Pomorzanach nie widział.

Dobek nie był z nimi. Cóż on mógł robić w krzyżackim obozie?

Żywy to był i straszny wyrzut — ten człowiek, który z nim jedną nie chciał pójść drogą, a teraz przychodził może urągać się jego spodleniu i upadkowi.

Dobek stał i patrzał, ale w wejrzeniu trudno było dobadać, litość przeważała, czy wzgarda, oburzenie, czy miłosierdzie.

Postąpił krokiem ku łożu, ręce załamał i głową zaczął potrząsać w milczeniu.

— Czego chcesz? — krzyknął Wincz, tem przedłużonem wpatrywaniem się w siebie rozgniewany. — Czego chcesz? Głowęś przyniósł pod miecz.

— A... choćby — odparł obojętnie Dobek. — Głowę stracić to nic, ale cześć stracić, imię pokalać, ród hańbić — to gorzej!

Wojewoda milczał drżący.

— Czegom tu przyszedł? — mówił dalej. — Spytać przyszedłem ciebie o rachunek. Czem ty to zapłacisz, do czego swoją zdradą dopomogłeś i co na twój kark i sumienie spadło? Słuchaj!

Wojewoda chciał przerwać, Dobek nakazał mu milczenie.

— Słuchaj! Oto masz lik twoich czynów: Łęczyca spalona i łęczyckie spustoszone, Kalisz wzięty. Za nim opanowane Gniezno! słyszysz ty to? Gniezno... zamek, kościół, grób patrona, skarbiec świętego, wszystko złupione! Nakło w popiołach, Środa spalona, Pobiedziska zrównane z ziemią, Kleck, Kostrzyń, Sieradz, Uniejów, Warta, Szadek! A wsie, a kościoły, a klasztory, a ludzkich żywotów tyle, a zbiegłych tyle, co po lasach mrą z głodu, a krwawe łzy? Mało ci tego? Syt jesteś? Nie jeszcze? Czego ci więcej potrzeba?! Mów!

Jęknął Dobek.

Co się działo, gdy on to przerywanym mówił głosem, powoli, jak krople wrzącej smoły na ciało nagie, rzucając te imiona na sumienie jego, co się działo z Wnczem, Dobek sam nie mógł zrozumieć. Oczy miał zakryte dłonią, a usta, które pozostały odsłonięte, wykrzywił ból.

Milczenie trwało długo; wojewoda nie odpowiadał nic.

— Mów — odezwał się Dobek — gdzie, dokąd ich jeszcze powiedziesz i gdzie my z żonami i dziećmi przed tobą i przed nimi chronić się mamy? Ja nie mam już domu, ni komu, w lesie, w jamie tulę nędzę moją... srom mój, żem także Nałęcz, jako ty... bo nas ludzie palcami wytykają.

Gdy to mówił, wojewoda się zerwał na nogi — a Dobek cofnął mimowoli ,sądząc, że z mieczem się nań rzuci.

Lecz Wincz spojrzał nań tylko gniewnie, ręce rozpostarł i głowę pochylił ku ziemi.

— Jeszcze się to nie skończyło, co się poczęło — rzekł głosem zdławionym. — Nie widzicie jeszcze końca, obróci się to inaczej. Z Krzyżakami, z królem Janem, z mistrzem... będę mówił, teraz z rozwścieczonym żołnierzem niema sposobu. Zdziczeli, słuchać nie chcą.

Dobek kiwał głową szydersko.

— A kiedyż słuchać będą? — przerwał gniewnie — gdy jeszcze słabsi będziemy, niż dziś! Albo to są ludzie? albo to chrześcijanie? Zdaliście siebie i kraj na katy... wzięli was — nie oszczędzają nas... myślicie, że miłosierdzie mieć będą?

— Nie skończone to! nie skończone! porachujemy się! — zamruczał wojewoda. — Nie klnijcie mnie, ja krew i głowę dam, a złe to odrobię!

— Jak? Czem? — począł Dobek. — Wrócicie życie zabitym, odbudujecie miasta!... Oddacie nam cześć straconą!

— Czegóż ty chcesz odemnie? — wrzasnął zniecierpliwiony wojewoda — czego?

— Chciałem ci tylko pokazać jedną z ofiar twoich — rzekł Dobek. — Masz ją, patrz na mnie. Ja, dzieci i wnuki przeklinać cię będziemy, ciebie, coś dla swojej pychy i zemsty nas wszystkich poświęcił i kraj do zguby poprowadził. — Przeklęty bądź, szalony starcze... przeklęty!

Wincz słuchał tego wybuchu z głową spuszczoną, nie odparł słowa; odbijały się o niego te wyrazy, jak

garść rzuconego piasku od żelaznej zbroi. Stał nieruchomy.

— Przyszedłem — dodał Dobek — aby kogo jeszcze czas ocalić i wyrwać z twoich rąk. Zabiorę Nałęczów, którzy warci są, aby ich ratować. Zostaniesz z miłemi Krzyżaki.

Odwrócił się od niego.

— Nie waż mi się tego czynić! — krzyknął wojewoda, postępując za nim. — Zakazuję; nie wiesz, co jutro będzie, ja ich potrzebuję.

— Abyś ich zdał wszystkich Niemcom!

Wincz chciał coś mówić, rzucił obłąkanym wzrokiem i wstrzymał się.

Dobek spojrzał nań i wypadł z namiotu. Zawrócił się, trzymając zasłonę nad sobą.

— Jedyny ratunek — rzekł — chcesz? idź z nami! Wymkniemy się oddziałem z obozu i pójdziemy precz... przebojem, gdy potrzeba.

Wojewoda zmarszczył się i nogą uderzył o ziemię.

— I ja nie pójdę — i ty mi ludzi się nie waż odciągać, potrzebni będą. Powiadam ci — nie skończona sprawa. Potrafiłem zło uczynić, potrafię je naprawić, ale...

— Ale chcesz, byśmy ci teraz zawierzyli? — zaśmiał się Dobek... — Zapewne!

I opuścił namiot.

Wojewoda, który aż do progu się za nim posunął, wstrzymał się tu, zwrócił, namyśliwszy i padł na łoże.

Po chwili zawołał Włostka, który zawsze czuwał w bliskości... kilka słów mu szepnął... i odprawił. Mimo znużenia nie mógł zmrużyć oka i oczyma szeroko otwartemi patrzał na wnijście do namiotu. Czekał; Włostek zjawił się po długiem oczekiwaniu.

Polecono mu było iść w ślad za Dobkiem i wstrzymać tych, coby z nim uchodzić chcieli. Lecz jak wojewodę niebardzo słuchano, tak i jego sługa dziś dawnego miru nie miał w wojsku.

Napróżno więc szukał Dobka i chciał dojść, gdzie się obracał; odprawiono go gburowato, nie dopuszczono do namiotów... dopiero ze dniem obiecywał się dowiedzieć, czy kto z ich oddziału nie uszedł.

Wincz, nie odpowiedziawszy na doniesienie, głowę spuścił, ręką dał znać i pozostał na łożu, ale sen mu powiek już nie kleił. Rzucał się, walczył sam ze sobą. Przekleństwa Dobka teraz dopiero skutkowały, powtarzając mu się w uszach.

Wieczorny szmer powoli pstawał w obozie, deszcz też i wiatr przeszły, niebo się nieco oczyszczać zaczęło. Cisza nocy nadchodziła.

Wojewoda pragnął spoczynku — i znaleźć go nie mógł; przerzucał się z boku na bok, wstawał, siadał, kładł się ,jęczał.

Z wiadra wody, które stało w namiocie, zaczerpnął kilka razy, jakby go wewnątrz paliło.

Wtem ściany płócienne namiotu poruszyły się, jakby wiatr niemi rzucił, lub nieświadoma ręka szukała wnijścia do niego.

Wojewoda, który wiedział, ilu miał nieprzyjaciół, a po Dobku przez przekleństwo domniemywał się, iż na życie jego godzić mogą, schwycił mieczyk.

Stąpanie ostrożne dało się słyszeć, zasłona uchyliła, ktoś wchodził. Wincz stanął, zerwawszy się z mieczem w ręku.

Lecz w progu ukazała się okryta czarną zasłoną niewiasta, która chwiejąc się i słaniając, wchodziła nieśmiało, a ręce podnosiła, jakby szukała i potrzebowała podpory.

Choć wojewoda twarzy jej nie mógł dojrzeć, drgnął, mrowie po nim przebiegło.

Postawą i ruchami przypominała mu żonę, Halkę jego.

Białą i wychudłą ręką zwolna podniosła część zasłony i odkryła twarz, zmienioną troskami i wybladłą.

Ona to była!

Po tylu doznanych strapieniach, po walkach wewnętrznych, po tem życiu piekielnych mąk, wspomnienie, które mu to niewieście serce przynosiło, było tak odżywiającem, że na chwilę zapomniał o wszystkiem.

Z rozrzewnieniem ,rzuciwszy miecz, przybliżył się do niej.

— Ty tu... Halko moja!...

Przywiązana żona, posłuszna niegdyś niewiasta, której miłość dla siebie znał, zamiast rzucić się w jego objęcia — cofnęła się o krok. Zdawała się mówić, by się nie zbliżał.

Upokorzony Wincz stanął.

Halka mówić nie mogła jeszcze, ręką cisnęła piersi, oddychając ciężko, przysłaniała sobie załzawione oczy.

Duma nie pozwalała mu mówić więcej.

— Tak, ja — ja, przyszłam raz jeszcze do ciebie — poczęła Halka cichym głosem. — Przedarłam się tu mimo niebezpieczeństwa. Wincz... ratuj siebie i nas!

Ponuro zamruczał coś wojewoda.

— Co, wam, babom, mieszać się do spraw naszych? — odezwał się wyraźniej. — Co wy rozumiecie? Czekajcie. Jeszcze nie koniec!

Błysnął oczyma i tchnął ciężko; nie wiedział, co mówić.

— Nie czekaj końca — przerwała żona; — jakiż on być może? Zguba ostatnia!

Zapłakała. Wincz się burzył.

— Mówicie o ratunku! Jakiż teraz może być! Wojna nie skończona. Ja tu nie mam z kim gadać. Króla Jana nie doczekali się, mistrz w Malborgu, a to głupia dzicz.

Halka obejrzała się wkoło, jakby obawiając się być podsłuchaną; załamała ręce.

— Porzuć ich — rzekła — odstąp.

— I cóż pocznę naówczas z sobą? — szydersko zawołał wojewoda. — Wybiją nas do nogi. Do kogóż się zwrócę?

Halka obejrzała się raz jeszcze.

— Do króla Władysława! — szepnęła — do naszego króla!

Wojewoda w gniewie i oburzeniu rzucił się aż w koniec namiotu.

— Ja? do niego? Miałbym się kłaniać, aby mnie nogą kopnął? Temu, który mi srom wyrządził, którego nienawidzę?... Nigdy w życiu!

Żona patrzała nań, dając mu się wyburzyć. Znała go zapewne i wiedziała, że pierwszemu wybuchowi potrzeba było dać ostygnąć.

Wincz zrywał się i poruszał gwałtownie, sam do siebie mówiąc; ona nie odzywała się, ścigała go tylko oczyma.

— Lepiej umrzeć, lepiej zginąć! — zawołał.

— A co śmierć pomoże — poczęła zwolna Halka. — Nazwą cię po śmierci zdrajcą, jako dziś zowią. Idąc do króla, zmażesz tę zdradę, w uniesieniu popełnioną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wierny słowu i za grobem.

Nie wiem, jak czytelnicy przyjmą to, co opisuję. Zdarzenie to jest prawdziwe i mija od tego czasu dwa lata. Dawno mocowałem się sam z sobą, czy zdarzenie to poddać do publicznej wiadomości. Jednakże dziś to czynię. Będąc parę razy w towarzystwach różnych osób, opowiedziałem o tem, co też naturalnie krytykowano rozmaicie. I dziś wiem, że inaczej nie będzie, ale mniejsza z tem, dla mnie fakt ten jest faktem i koniec.

Byliśmy kolegami, i to kolegami w całem tego słowa znaczeniu. Przez 20 lat pracowaliśmy razem, toteż nic dziwnego, że węzły naszej przyjaźni tak się zacieśniły. Dobraliśmy się, jak w korcu maku. On był szczery, otwarty, usłużny bezgranicznie, umiał boleć z bólem innych, cieszył się z cieszącymi, płakał z płaczącymi. Materjalistą lub egoistą nie był. Wiarę swą zachował wiernie. Nie miał rozkoszy życiowych. Miał pewne słabostki tak, jako i ja je mam, albo każdy człowiek, a to tylko dlatego je posiadamy, bo jesteśmy ludźmi.

Cechowały nas obu dwie wady. Jedną z nich był humor niepospolity, a drugą była powaga w rzeczach nadprzyrodzonych. Smutek życia wypędzaliśmy humorem i on też do nas nie miał przystępu.

Powagą wznosiliśmy się duchem nad zenity, omawiając wszystko. 20 lat to kawał czasu i cośmy przez te lata nie omawiali, nie da się opisać. Sięgaliśmy tam, gdzie się kończy wiedza najmędrszego człowieka. W tych omawianiach szukaliśmy sprawiedliwości, której na ziemi absolutnie niema, szukaliśmy pokarmu dla duszy, ulgi dla niej, jej uszlachetnienia. Ale cóż z tego, zawsze stawaliśmy bezradni nad ciemną przepaścią wieczności, przy której życie i wiedza człowieka się kończy. Tam też urywały się nasze dociekania. I chociaż posiadaliśmy wiarę w życie pozagrobowe, przecie raz podaliśmy sobie ręce, przyrzekając, że kto z nas pierwszy opuści ten padół ziemski, da znać drugiemu o przyszłem życiu. Ale warunek był taki: Jeśli tam niema nic, nie przyjdzie, jeśli życie jest, oznajmi to swem przyjściem. Było to mniej więcej, licząc od dziś, przed dwunastu laty. Czy to zawarcie takiej ugody było grzechem, czy też czem innem, niech sądzi, kto chce i jak chce, dosyć na tem, że stało się to faktem dokonanym.

I przyszedł czas naszej rozłąki. Z końcem stycznia roku 1931 choroba powaliła kolegę na łoże boleści, z którego nie powstał więcej. Dnia 29 maja 1931 wydał ostatnie tchnienie. Czy pamiętał o tem, cośmy sobie przyrzekli, nie wiem, tylko ja, dowiedziawszy się o jego śmierci, pomyślałem sobie: „Dotrzymywałeś słowa zawsze za życia, dotrzymasz i teraz". Więcej o tem nie myślałem. I dotrzymał słowa!

Było to w nocy z ósmego na dziewiątego czerwca roku 1931, a więc w dziewięć dni po pogrzebie. Obudziłem się przed trzecią godziną rano. Koło brzegów zasłon w oknach, było widać wkradający się słabo blask rannej zorzy, lecz w pokoju było ciemno. Usiadłem na łóżku, potem wstałem, poszedłem do kuchni, wypaliłem pół papierosa, napiłem się wody, poczem położyłem się znowu, co może wszystko zabrało z pięć minut czasu.

Czym zasnął, albo nie, tego nie wiem, lecz ktoś w pokoju przestawiał stołki, które mu w drodze przeszkadzały. Słyszałem łoskot ich przestawiania. Otworzyłem oczy, ale w ciemności nie widziałem nic. Myślałem, że czyni to żona lub córka, ale te przecież spały. Gdy wtem uczułem jakąś siłę, która mnie obezwładniała. Równocześnie w ciemności ujrzałem owalną jasność, taką jakąś matowo-mleczno-księżycową, a w środku owalu mego kolegę, czarno ubranego, w czarnym kapeluszu na głowie, kołnierzyk, krawatka, koszula śnieżno białe, buciki lśniące, słowem elegancko ubrany we wszystko nowe. Z twarzy jego biła jakaś powaga majestatyczna.

Ujrzawszy go, wstałem natychmiast. Spotykamy się obok łóżka, podajemy sobie ręce, witając się. Jeszcze dziś czuję ciepło jego dłoni. Ja z pewnym wyrzutem w głosie mówię mu:

— Dałeś na siebie długo czekać i choć wiem, że do nas już tu na ziemi nie należysz, lecz wierzyłem zawsze twemu słowu.

A on niezmieszany na to:

— Daruj! Nie mogłem inaczej!

— No ale ładnieś ubrany, jak na wesele, — mówię.

— Tak, — odpowiada. — Krawatkę białą, kołnierzyk wolno mi już nosić, tylko ubranie okropnie mi ciąży!

— Kolego! — pytam. — Czy jest życie za grobem!?

— Przecie tu jestem i widzisz mnie! Taki był nasz warunek! — odrzekł tonem jakimś poważnym.

— Kolego! — mówię. — Chcę jeszcze coś wiedzieć, — lecz nim dokończyłem, przerywa mi i mówi:

— Wiem, co chcesz wiedzieć!

— Dobrze! Powiedz mi, jak długo tu jeszcze będę żyć! — pytam.

Widać to pytanie zabolało go ogromnie, bo aż się niby z bólu skrzywił i głosem z bólu mówi:

— Nie bądź ciekawy, to samo przyjdzie!

Zrozumiałem położenie moje i jego, ale nasuwa mi się samo pytanie:

— Kolego, czy jest sprawiedliwość i zapłata na tamtym świecie?

— Większa, niż sobie przedstawiacie i niż was nauczają! — odpowiedział podniesionym głosem.

— To chociaż, — błagam go, — powiedz mi coś o przyszłości!

— Słuchaj, — odpowiada. — Czeka was ciężka i straszna przyszłość, a zresztą jeszcze przyjdę — i znikł.

Równocześnie opamiętałem się. Siedziałem na łóżku a zegar wybijał godzinę trzecią. Byłem cały zdumiony. Rozważałem wszystko! Szczególnie odpowiedź co do przyszłości. Czeka was! Kogo? Czy mnie z rodziną, czy też ogół cały? Tego nie rozumiem! To było dotrzymane słowo i zza grobu! Co o tem sądzić? Dla mnie to wystarcza, mam już swe zdanie. Resztę zostawiam wam czytelnicy, bez względu na to, z jakich sfer czytelnik to będzie.

Karwina (Czechosłowacja).

Rudolf Chlebowczyk.

Rocznica koronacji króla chłopków.



Zamek królewski na Wawelu.

Żaden z królów polskich nie był tak sprawiedliwym i dobrze usposobionym dla ludu wiejskiego, jak Kazimierz Wielki, syn Władysława Łokietka. Z historji i powieści naszej p. t. „Zdrada wojewody Wincza“ — wiedzą Czytelnicy, że czasy, w których objął panowanie po śmierci ojca w roku 1333, były dla Polski jeszcze bardzo ciężkie. Wprawdzie Krzyżacy pokonani przez wojska polskie pod Płowcami, nie byli już tak groźni, jak poprzednio, ale przecież mogli szukać odwetu i grozić dalej granicom Polski. Również Czesi, których król miał pretensje do tronu polskiego, mogli lada chwila najść Polskę i zakłócić jej spokój. A tu tymczasem kraj był wyniszczony i trzeba było koniecznie zaprowadzić w nim porządek.

Zrozumiał to Kazimierz Wielki i choć z bólem serca odstąpił Krzyżakom Pomorze, a ci zwrócili mu wzamian Ziemię Dobrzyńską i Kujawy, zaś królowi czeskiemu oddał zwierzchnictwo nad Śląskiem, aby sobie i z jego strony zapewnić spokój. Była to strata bolesna i czuł ją Kazimierz, ale mimo to Polska nie stała się mniejszą, gdyż ją rozszerzył na wschodzie, przyłączając do niej Ruś halicką, którą zmienił w krainę „miodem i mlekiem płynącą“.

Kazimierz objął rządy w Polsce, mając zaledwie lat 23. Zabrał się zaraz do uporządkowania kraju przez dobre gospodarstwo, przez szerzenie oświaty, krzewienie rękodzieł, popieranie handlu, dzwiganie rolnictwa i t. d.

Panował lat 37, a dbał przez cały ten czas o ład, o mnożenie nauki i bogactwa narodowego, o rozumne prawa i dobrobyt mieszkańców, stawiał zamki murowane i wspierał miasta, które niebawem zakwitły. Niepodobna wyliczyć wszystkich dzieł Kazimierzowych, w Polsce dokonanych, wsi nowo zasiedlonych, miast nowem prawem obdarzonych, twierdz na granicy a w kraju kościołów i budynków przez niego wzniesionych. Zamek na Wawelu, którego podobiznę podajemy powyżej, rozszerzył i zmienił w okazały pałac, na rynku zbudował gmach okazały dla kupców, zwany Sukiennicami, które do dziśdnia obok Wawelu i kościoła Najśw. Panny Marji są najcenniejszą ozdobą Krakowa. Założył też tuż koło Krakowa nowe miasto Kazimierz, stanowiące dziś jedną z dzielnic Krakowa.



Kościół Marjacki w Krakowie.

Lwów, Lublin, Sandomierz, Radom, Piotrków, Halicz, Łęczyca, Olkusz, Wieliczka i wiele innych miast zawdzięcza jemu tak wiele, że śmiało rzec można, iż był ich nowym fundatorem. Ściągał też zewsząd ludzi do pracy; wielu Niemców przyjął do swego kraju, pozwolił osiedlić się żydom, których gnębiono wtedy i pędzono z krajów zachodnich, szczególniej z Niemiec. Najwięcej zaś starał się o poprawienie doli ludu wiejskiego, dlatego słusznie nazwano go „królem chłopków“. Wiele pięknych podań zachowało się o tym królu chłopków. Znane jest opowiadanie, jak to przebrany za żebraka wprosił się na kumy u biednego kmiotka, a potem do chrztu przyjechał w pięknym powozie z licznym orszakiem. Znany też jest fakt, jak surowo ukarał dwóch paniczyków, którzy tuż przed żniwami polowali na chłopskich gruntach.

Ażeby zaś nikomu nie działa się krzywda, ani szlachcicowi, ani poddanym jego, ani obcym przybyszom, aby prawo było wyraźne i sprawiedliwe, wydał zbiór ustaw, znanych w historji jako „Statut Wiślicki“, gdyż ustawy te w Wiślicy zostały pierwszy raz ogłoszone. Ustanowił nadto liczne sądy (np. dla miast Najwyższy Trybunał w Krakowie) i sam starał się, aby kara dosięgła każdego zbrodniarza. Często sam brał udział w sądzeniu rozmaitych spraw.

Wiedział też, że dobremu sądownictwu trzeba uczonych, na prawie znających się sędziów i dlatego założył szkołę najwyższą, czyli tak

zwany uniwersytet w roku 1364, który do dziś dnia istnieje.

W życiu rodzinnem nie był Kazimierz szczęśliwy. Miał cztery żony: Litwinka, córka wielkiego księcia Giedymina, Aldona i Czeszka Małgorzata, zmarły rychło; z Niemką Adelajdą nie żył w zgodzie; papież unieważnił to małżeństwo; poczem pojął Jadwigę, księżniczkę głogowską. Pozostały córki po tych żonach; nie było męskiego potomka. Ród Piastów, który zgórą 500 lat w Polsce panował, wygasł na Kazimierzu Wielkim, kiedy król 30 listopada 1370 roku zmarł nagle, licząc zaledwie 60 lat życia.

W kwietniu b. r. minęło 600 lat od chwili koronacji owego wielkiego monarchy na króla polskiego. Z powodu jednak chłodnej pory uroczystości pamiątkowe są dopiero teraz w Polsce obchodzone, z których do najwspanialszych zaliczyć należy uroczystość w Krakowie, w którym Kazimierz stale na Wawelu w czasie swojego życia mieszkał i gdzie jego zwłoki w grobowcach królewskich spoczywają.



W zyciu nawet najporządniejsego cłowieka zdarzają się casem rzecy nieporządne. Ale to juz nie jego wina, jak nie wina nawet pięknego salonu, jezeli psa brzuch zaboli i z taką boleścią schroni się do aligancckiego pokoju. Nie było tez winy Kazimierza Cinciały, ze zjadł z własnemi przyjacielami własne palto.

A było to tak. Na świętego Kazimierza zrobiło się cieplusko, jak u gospodyni pod pazuchą. Cinciała, jako ze mu było na imię Kazimierz ,obchodził w dniu tym, jak i wszyscy inni Kazimierze i Kazimirki swoje imieniny. Zesło się paru chłopaków, powinsowali mu i powiadają:

— A coze se ty myślis, obijacu, ze my nadurno pyski psuli, aby takiemu obwiesiowi wszyćkich serdeczności z całego pyska zycyć. Dałbyś co chlapnąć i cem zagłąbić.

Kazimierz podrapał się ze strapienia, zwłasca ze go trochę i wsy gryzły, i powiada:

— Radaby dusa do raju, ale w kieseni ani gronia... Chybaby palto sprzedać, bo i ciepło się juz zrobiło.

Na takie powiedzenie wszyscy przyjaciele jesce mu lepsiej zycyli i powiedzieli, ze jest mądry i morowy chłop, i ze takiego warto kochać na kuzdego świętego Kazimierza.

Cinciała sprzedał palto, a za otrzymane piniądze ugościł swoich gości bardzo gościnnie.

Ale w dalsem marcu i kwietniu zrobiło się na świecie zimno tak, ze Kaziuś pocął ząbkami scekać. W tej strapacyji idzie do najlepsego przyjaciela, Jacka Flaka, i prosi go, aby mu pozycył parę złociaków na kupno inksego palta.

— Jacuś — powiada — zimno mi... Na imieniny sprzedałem palto, teraz trzaby inkse kupić...

— To se kup! — powiada Jacuś.

— Właśnie przysedem do ciebie, abyś mi pozycył parę złociaków.

— A lacego ja właśnie?

— No boś ty moje palto na imieninach przezarł!

— Bujas! — powiada Jacek. — Jakby tak wszyćko dobrze obrachował, to najwyzej rękawy na mnieby przypadły.

— Rękawy? Samego jedzenia za rękawyby nie kupił, a kaj wódka, a kaj piwo? Trzy częśći palta sam zezarłeś!

— A Wojtka i Wawrzka nie było?

— Byli, ale mało jedli, a jesce mniej pili. Podsywka najwyzej na nich posła.

— A ty to pies?

— Zołondek miałem zepsuty, brzuch mnie bolał... Co najwyzej to guziki ino przejadłem...

— Gadaj, co chces, a ja ci piniędzy nie pozycę — powiada Jacek. — Po twojem palcie takich wtedy boleści dostałem, jaz mnie skręcało... Łeb mnie bolał i świat cały kręcił się na lewo... A zreśtą nie trza było robić imienin! Co ci zawinił święty Kazimierz, zeby w jego urocystość ze siebie i z bliźnich porobić świnie!

Cinciała westchnął ciężko i powiada:

— Sprawiłem imieniny, bo było ciepło, ale to nie znacy, ze teraz za swoje dobre serce mam zmarznąć. Zastanów się, Jacuś, i pozyc ila tela.

— Nie pozycę, bo dobry zwycaj nie pozycaj, a ty, kiedyś był głupi, to teraz marznij...

Kazimierz tak się przejął odmową przyjaciela, ze zacął płakać, a wreście aby łzy swoje obetrzyć, tak się nieostroźnie zamachnął, ze ni stąd, ni zowąd wybił przyjaicelowi dwa zęby.

Nielepiej wysedł od Cinciały Jasiek Ogórcak. Gospodarz jego powiada do niego:

— Jasiek, a słuchajno. Jadę na ştyry tygodnie do Krakowa z wizytą do świętego Michała. (Kreminał w Krakowie, który zafundował św. Michał). Pamiętaj, zebyś mnie we wszyćkiem zastąpił. Słuchaj gospodynię i rób, co ci kaze.

Po ştyrech tygodniach wrócił gospodarz do chałpy i na podworcu spotyka Jaśka. Z ciekawości pyta się go, co tam słychać w gospodarstwie.

— Jałówka się nam ocieliła! — powiada Jasiek.

— A konie cy zdrowe? — pyta dalej gospodarz.

— Zdrowe, Bogu dzięki! — Jasiek na to.

— Zaoraliście i zasiali wszyćko?

— Wszyćko do imentu!

— A gosposia cy zdrowi? — pyta gospodarz na ostatku, juz się o wszyćkiem dowiedziawszy.

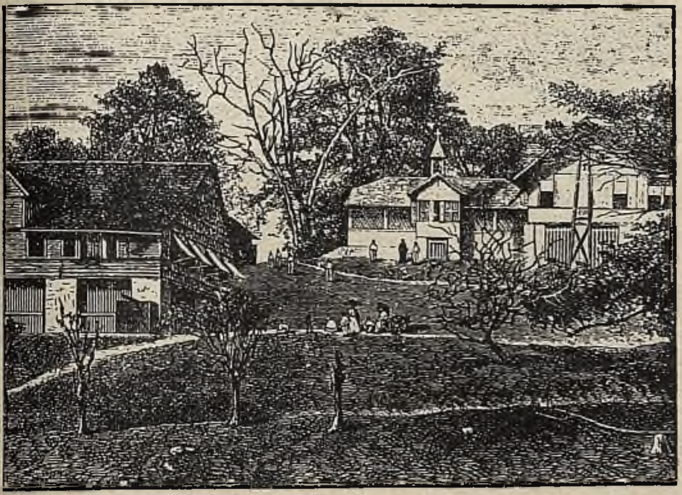
— Zdrowi, zdrowi! Dopiro we wtorek zacną chorować, ale teraz całkiem zdrowi.

Nazajutrz Jaśka Ogórcaka juz u gospodarza na słuzbie nie było, a gosposia jesce tego samego dnia od serdecnego przywitania gospodarzowego się rozchorowała.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Antylle II.

Pierwszym krajem Nowego Świata, który ujrzał światło wiary i cywilizacji europejskiej, były Indje zachodnie, a mianowicie wyspy San Salvator, czyli



Antylle. Wyspa św. Trójcy.

Guanahani, Kuba i Haiti. Na tę ostatnią szczególną swą uwagę zwrócił Kolumb, nazwał ją z początku Hispaniolą, a potem ku czci świętego Patrona swego ojca, San Domingo.

W czasie odkrycia były te wyspy bardzo zaludnione; na samej Haiti było przeszło miljon mieszkańców. Dla utwierdzenia władzy króla Hiszpanji Kolumb założył w państwie kacyka Guacanagari małą twierdzę pod nazwą Nativita i opatrzył ją nieliczną załogą. Przy odjeździe do Hiszpanji zachęcił żołnierzy do karności, cnoty, a przedewszystkiem do zachowywania praw Indjan, swych bliźnich. Zaledwo jednak Kolumb odpłynął, koloniści napadli na Indjan i dopuszczali się najsroższych gwałtów i nadużyć. Rozjątrzeni tem krajowcy chwycili za broń i po rozpaczliwej obronie wymordowali Hiszpanów i zburzyli twierdzę.

Za powrotem z Europy Kolumb znalazł zamiast twierdzy tylko jej gruzy. Niezrażony tem założył nowe miasto, które ku czci swej królowej nazwał Izabellą, poczem zwiedziwszy Kubę i Jamajkę, udał się na swą ulubioną Hispaniolę. I tym razem zastał swych rodaków w krwawej walce z krajowcami, co go bardzo zaniepokoiło. Wkrótce Indjanie, zagrożeni utratą samoistnego bytu, połączyli wspólne siły i z wyjątkiem kacyka Guacanagari, który pozostał wierny Kolumbowi, wszyscy w liczbie 100 tysięcy ludzi stanęli do boju z Hiszpanami. Z obu stron zawrzała zacięta walka, długo nierozstrzygnięta, aż wreszcie broń palna i konie, których nie znali Indjanie, zapewniły Europejczykom zwycięstwo. W celu zupełnego pokonania krajowców Hiszpanie wypuścili na nich całą zgraję złych i wygłodniałych psów, które, rzuciwszy się na nagich ludzi, wyrządziły straszne w ich szeregach spustoszenie. Po takiej klęsce większa część plemion zdała się na łaskę i niełaskę zwycięzców, reszta ukryła się w gąszczu lasów, gdzie głód i zaraza wytępiły ich prawie do szczętu.

W cztery lata po odkryciu wyspy 300 tysięcy mieszkańców wyginęło. Pozostali musieli się zgodzić z ciężkim swym losem, poddali się cudzoziemcom i uznali za swego władcę króla Hiszpanji. Kolumb mianował zarządcę młodej kolonji, a sam wybrał się w dalszą podróż, w której odkrył wyspy: Cubagne, Trinidad i Margarite, a wreszcie i stały ląd Ameryki. Jakże się jednak zmartwił, kiedy się za powrotem przekonał, że w osadzie panuje duch nieposłuszeństwa, zdziczenia, a koloniści traktują z niesłychanem okrucieństwem biednych Indjan. Wprawdzie potrafił zapomocą łagodnych upomnień przywrócić jaki taki porządek, ale nie mógł zapobiec wkładaniu coraz większych ciężarów na krajowców. Osadnicy rozdzielili całą wyspę pomiędzy siebie, a pierwotni mieszkańcy musieli uprawiać pola pojedynczych właścicieli wzamian za uwolnienie od uciążliwych podatków. W ten sposób powstały tak zwane komturje czyli osady. Pełnomocnik królewski wydzielił każdemu znaczniejszemu Hiszpanowi pewną ilość Indjan, zamieszkałych w obrębie jego posiadłości i ci mieli uprawiać jego ziemię, za co właściciel obowiązany był uczyć ich prawd wiary katolickiej. System ten przemienił nieszczęśliwych Indjan z wolnych poddanych w robotników, który to stan pod następcami Kolumba w najsroższą przeistoczył się niewolę.

Postępowanie takie nie mogło zbawiennie wpływać na rozwój katolicyzmu w Indjach zachodnich, bo krajowcy, przejęci nienawiścią, obawą i niedowierzaniem ku Europejczykom, nie chcieli także zaufać misjonarzom. Napróżno powstawali ci ostatni przeciw okrutnemu obejściu się z Indjanami, nikt ich nie słuchał. Wprawdzie królowa hiszpańska Izabella, uwiadomiona o srogiem postępowaniu namiestnika Bobadilli, odwołała go natychmiast, wyznaczając na jego miejsce Ovande'go, któremu gorąco poleciła, aby krajowców uznał za wolnych poddanych, nie pozwalał ich krzywdzić, a za wykonaną pracę nagradzał, ale rozporządzenie pobożnej i mądrej królowej niedługo trwało, bo przebiegły Ovando pozornie tylko i na czas krótki zaniechał prześladowania, poczem mieszkańcy dostali się pod sroższą jeszcze niż kiedykolwiek niewolę. Powiększono też liczbę osad, a śmiertelność tak się wzmogła wśród krajowców, że z miljona mieszkańców w roku 1507 pozostało tylko 60.000. Próżnię stąd powstałą umyślił Ovando zapełnić nowymi Indjanami, sprowadził więc zapomocą fałszywych obietnic 40.000 dzikich z wysp Lukajskich. Niedługo rozczarowali się przybysze, obietnice poszły w zapomnienie, a kiedy w następnym roku Diego otrzymał namiestnictwo na wyspie San Domingo, liczba krajowców ze 100.000 spadła do 50.000, a następnie wymarli prawie zupełnie.



Antylle. Zatoka Skarborugh i chaty w Tabago.

J MOKRZYCKI.

TRUCICIELKI.

Powieść kryminalna z 18 stulecia.

(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

To rzekłszy, wyciągnęła z poza łóżka długi sznur, skręcony z podartego na pasy prześcieradła.

— Oto jest! — rzekła. — Jest on dosyć mocny, trzeba go jeno mocno przywiązać tu do obramowania, poczem możemy śmiało puścić się w podróż napowietrzną. Dobrze byłoby jeszcze wprzód silnie drzwi zatarasować, by zyskać na czasie wrazie wykrycia ucieczki. Gdyby przyszli do pokoju, zauważą okno otwarte i sznur; oczywiście rozpoczną natychmiast pościg, gdy jednak zatarasujemy dobrze drzwi, więc nim przeszkodę usuną, my tymczasem możemy wydostać się na ulicę.

Nie namyślając się więc długo, poprzesuwały meble i ułożyły je na kupę przed drzwiami.

— Trzeba i w tamtym pokoju uczynić tosamo — zauważyła Ewelina.

— Już to poprzednio uczyniłam — odrzekła Irena.

— A więc nadół! — zawołała Ewelina, poczem skoczywszy na okno, zręcznie, jak kot, poczęła się spuszczać po improwizowanej linie.

Gdy stanęła na podwórzu, Irena poszła za jej przykładem. Szło jej to wprawdzie o wiele trudniej, jednakowoż po chwili znalazła się na bruku podwórza obok towarzyszki. Ciemność tu panowała niemal zupełna, jedynie z sieni odbijała słaba smuga światła, przechodząca z otwartej szynkowni, z której dochodziła, jak zwyczajnie, wrzawa pijackich głosów.

Gdyby drzwi szynkowni były zamknięte, nie byłoby nic łatwiejszego ,jak wydostać się drogą przez sień na ulicę, lecz bały się to uczynić, gdyż gdyby je zauważono, nie mogłyby nawet do bramy dobiec a jużby je schwytano. Udały się zatem w tył podwórza, gdzie krętym zaułkiem przedostały się do ogrodu, przytykającego do ulicy portowej.

W ogrodzie było nieco jaśniej, wystarczało przedostać się na ulicę i byłyby uratowane. Lecz tu czekała je trudność prawie nie do przezwyciężenia, albowiem parkan był tak wysoki, że niepodobna go było przejść.

Szukały jakiegoś wyjścia, lecz w ciemności nic znaleźć nie mogły, a tymczasem zauważyły, że w domu wszczął się ruch. Dały się słyszeć nawoływania i wnet w podwórzu zamigotały latarki. Nie było wątpliwości, że zauważono ich ucieczkę i rozpoczęto za niemi poszukiwania.

— Jesteśmy stracone! — szepnęła Irena drżącemi usty.

Lecz zwinna, jak sarenka, Ewelina, nie straciła zupełnie przytomności, zrobiła parę skoków i naraz wydała cichy okrzyk radości. W tej chwili Irena zobaczyła ją stojącą na parkanie około dwa metry wysokim, wyciągającą rękę ku niej.

— Niech pani tu idzie — zawołała stłumionym głosem — dopomogę pani dostać się tu do mnie. Prędko, prędko!...

Irena skoczyła do parkanu i przy pomocy Eweliny wydostała się również na parkan, poczem Ewelina skoczyła na ulicę, następnie podała obydwie ręce Irenie, aby uchronić ją od upadku.

W chwili, gdy Irena zeskakiwała, światło latarki oświeciło parkan, więc manewr ten nie uszedł oczu ścigających.

Znalazłszy się na ulicy, która już o tej porze zupełnie opustoszała, puściły się pędem w stronę przystani morskiej.

Ewelina pędziła lekko, jak sarenka, Irena nie mogła za nią nadążyć, albowiem nogi pod nią drżały ze strachu i uginały się, że co chwila zataczała się i jużjuż miała upaść.

Ubiegły zaledwie może trzysta kroków, gdy spostrzegły dwie latarki szybko w ich stronę się zbliżające. Była to więc niewątpliwie pogoń. Wytężyły ostatnie siły, lecz kroki goniących dawały się coraz wyraźniej słyszeć, słyszały już prawie za sobą sapanie ścigających.

Naraz na zakręcie ulicy stanął przed nimi jakiś wysokiego wzrostu i barczystej postawy człowiek w ubraniu majtka. Ewelina, która była znacznie na przedzie, skoczyła do niego i chwyciwszy się jego ramienia, zawołała:

— Dobry człowieku! Kimkolwiek jesteś, broń nas, ratuj!

Tymczasem dobiegła też Irena i spojrzawszy w twarz mężczyzny, najpierw stanęła jak wryta, następnie radośnie wykrzykla:

— Tomek!...

W tejże prawie chwili nadbiegł Mackner z olbrzymim murzynem, błyskając w ręku długim sztyletem.

XII.

W Fallenburgu wszystko powróciło do normalnego stanu. Nic teraz nie zakłócało spokoju, po wyjeździe Elfrydy z matką, służba odetchnęła, pozbywszy się ich ciężkich rządów.

Władysław przychodził powoli do zdrowia, lecz smutny był i zamyślony ciągle. Proces rozwodowy ukończył się, sąd uznał ślub za rozwiązany i zabronił Elfrydzie używania mężowskiego nazwiska, nie przyznał jej żadnego odszkodowania, żadnej renty. Natomiast Władysław dobrowolnie zaofiarował pewną kwotę, jako dożywotnią rentę baronowej, która była krewną jego matki. Renty tej jednakże nie wypłacano, albowiem miejsce pobytu baronowej dotychczas nie było wiadomem. Prócz pana Władysława i kamerdynera nikt nawet nie domyślał się powodu, dla którego wyjechały. Znajomi i sąsiedzi, którzy czasem odwiedzali zamek, nie wiedząc zgoła o sprawach, rozgrywających się w zamku, niemało zdziwieni zostali po ogłoszeniu wyroku rozwodowego. Zresztą Władysław od czasu swej choroby nie wyjeżdżał z domu wcale, ani też nikogo nie przyjmował, jakby unikał wprost ludzi, z którymi dawniej łączyły go stosunki przyjacielskie, lub sąsiedzkie.

Jedynym człowiekiem, który miał dostęp do niego o każdej porze, był nieznany mnich-kwestarz, który od niejakiego czasu bardzo często ukazywał się w zamku i w zamkniętym gabinecie z panem Władysławem rozmawiał całymi godzinami. O czem mówili, nikt nie wiedział. Niektórzy twierdzili uparcie, iż ów kwestarz przybył tu umyślnie w tym celu, aby pana Władysława skłonić do porzucenia marności światowych i pociągnąć go za sobą do klasztoru. Twierdzenia te, zwłaszcza pomiędzy służbą, uporczywie się trzymały, wywołując pewne zaniepokojenie, gdyż nikt w zamku zmiany pana sobie nie życzył, bo Brzescy, tak ojciec jak i syn byli dla swoich podwładnych nie panami, lecz opiekunami i prawdziwymi ojcami. Zaniepokojenie to wzrosło jeszcze po pewnym czasie, gdy Władysław począł czynić przygotowania, jakgdyby do jakiejś dalekiej podróży. Regulował stosunki majątkowe, ściągał czynsze dzierża-

wne, gromadził gotówkę. Co jednak zamierzał, o tem słowem nikomu nie pisnął.

Ciekawość i zaniepokojenie spotęgowały się jeszcze, gdy pewnego dnia odbył rozmowę ze swymi dzierżawcami, objeżdżając wszystkie folwarki z wyjątkiem Szwarcwaldu, a następnie polecił zwołać do



Człowieku! kimkolwiek jesteś, ratuj nas!

siebie wszystkich włościan Polaków, którzy aczkolwiek mniej liczni, jednak w jego dobrach się znajdowali.

W dużej sali zamkowej zebrało ich się kilkudziesięciu i wnet wśród nich pojawił się pan Władysław w towarzystwie owego kwestarza, który jakkolwiek w szacie zakonnej, był i z kapturem na głowie, z postawy nie wyglądał zupełnie na duchownego. Z jego ruchów i marsowej twarzy oraz grubego, szorstkiego głosu, domyśleć się prędzej można było w nim żołnierza, aniżeli pokornego zakonnika.

Gdy stanęli w pośrodku zgromadzonych chłopów, kwestarz dał znak ręką, iż chce przemówić. Gdy się wszystko uciszyło, zaczął wolnym głosem opowiadać o dawnej potężnej Polsce, która broniła Europy i chrześcijaństwa przed zalewem dzikich hord wschodu, podnosił męstwo bohaterów, którzy wszystko dla Polski poświęcali. Następnie przedstawił niezgodę panów i upadek Rzeczypospolitej, oraz mękę narodu, jęczącego obecnie w niewoli zaborców. Wspomniał o wielkiem dziele konstytucji 3 maja, w której szlachetni ludzie, owiani wielką ideą ulżenia doli upośledzonego ludu wiejskiego, zrównania go z innymi stanami powołania do obrony Rzeczypospolitej i współpracy nad Jej odbudową, przynajmniej częściowo swe wnioski w tej mierze przeprowadzili, czem dali początek do wielkiego dzieła odrodzenia narodu. Lecz znaleźli się niecni zdrajcy, którzy, aby to napoczęte dzieło zniweczyć, zawiązali konfederację Targowicką, sprowadzili na pomoc Moskali i cały naród pogrążyli w niewolę, by tylko do uszczuplenia swych wybujałych praw nie dopuścić.

W miarę, jak mówił, oczy jego nabierały coraz żywszego blasku, głos jego z początku cichy i spokojny, rósł i potężniał, przechodził jakby w huczący grzmot, wreszcie drgał i stawał się łkający, gdy przechodził do omówienia okropnych stosunków, panujących na rozdartych ziemiach Rzeczypospolitej.

Chłopi z zapartym oddechem słuchali tego przemówienia, tembardziej, że prawie poraz pierwszy coś podobnego słyszeli. Wiedzieli wprawdzie, że są Polakami, lecz sprawy ojczyzny nie zajmowały ich wcale. Obojętnem im było prawie, czy rządzi król polski, czy car rosyjski — nimi rządził pan dziedzic, a kto rządził panem dziedzicem, było im obojętnem.

Zresztą, co to jest Polska i co jest Naród, nikt im dotychczas nie powiedział. Szkół nie było a ksiądz w kościele kazał kochać Boga i słuchać pana, poza tem nic. Teraz ten nieznany mnich przedstawił im rzeczy dotychczas nieznane.

Toteż gdy skończył swoje przemówienie, wszyscy patrzyli w niego, jak w tęczę i cisza panowała taka, że słychać było brzęk każdej przelatującej pod sufitem muchy.

Wreszcie odezwał się pan Władysław uroczystym głosem:

— Chłopi! Jesteście Polakami, a żaden Polak nie może być niewolnikiem. Od dnia dzisiejszego zwalniam was z wszelkich powinności dworskich, wolno wam się przenosić, gdziekolwiek chcecie. Kto zaś pozostanie na dotychczas uprawianej ziemi, będzie opłacał mały czynsz, bądź w gotowiźnie, bądź w naturze, bądź też w robociźnie, która będzie jednak dobrowolną. Który zaś z was sam, lub syna na obronę ojczyzny pośle, ziemia, na której pracuje stanie się jego własnością na wieczne czasy. O tem jednak, coście tu słyszeli, nie wolno wam mówić nikomu obcemu i to pod żadnym warunkiem, albowiem rząd moskiewski, pod którego jesteśmy przemocą, nie patrzyłby na to obojętnie...

Wówczas chłopi poczęli się do niego cisnąć i obejmując mu kolana, ze łzami w oczach dziękowali.

— Jakże jednak, jaśnie panie dziedzicu, — odezwał się jeden młody barczysty gazda — jakże pójdziemy na obronę ojczyzny kiej nie mamy broni, ani nie wiemy, gdzie iść.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Krajowe zioła lecznicze
i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych

Centurja, Czerwieniec, Tysiącznik centurja *(Erytherea centaurium)* rośnie dziko na ziemiach piaszczystych, słonecznych łąkach, pastwiskach, miedzach. Łodyga około 40 cm, wysoka, u góry rozgałęziona, kwiaty różowe, smak gorzki, bez zapachu, kwitnie od lipca.



Działa łagodnie przeczyszczająco, wzmacnia trawienie. Wewnętrznie używa się naparu, lub nastoju przeciwko zimnicy, żółtaczce, robakom, wiatrom, zgadze, kwasom żołądkowym, niedokrwistości, uderzeniom krwi do głowy, chorobom nerek i wątroby; przywraca regularność, leczy kaszle i zaflegmienia. Nie należy jej używać w konstytucjach krwistych.

Zewnętrznie używa się, w formie okładów, na zakażone rany i wrzody.

Dr med. *Stanisław Breyer*, Kraków, Wolska 36.

Dawne czasy.

„Najpiękniejszą książką jest samo życie — tylko trzeba umieć w niej czytać, bo hieroglifami pisana“. (Dusze w odlocie. M. Gawalewicz 1852—1910).

Dzieje człowieka historycznego rozpoczynają się około 3400 roku przed nar. Chr. Około tego czasu panował w Egipcie król (faraon) Cheops, którego grobowiec zachował się po dzień dzisiejszy. Znacznie już później, bo około 1500 roku żył prawodawca Starego Zakonu, Mojżesz. Tak, lecz skąd my dzisiaj po tylu lat tysiącach wiemy o tych zamierzchłych czasach?

Udało się uczonym, jak genjalnemu Francuzowi Champollionowi (1790—1832) odcyfrować pismo egipskie, czyli tak zwane hieroglify, których jest, to znaczy tych znaków pisarskich, około 500. Jak sobie starożytni Egipcjanie radzili z pismem? A więc, gdy Egipcjanin chciał napisać wyraz „żołnierz“, to kreślił postać człowieka z łukiem, na oznaczenie „pługa“ kreślił jego podobiznę, wyraz „bić“ oznaczała podobizna człowieka z podniesionym prętem, „latać“ to znowu ptak w locie i t. d. Pewno, że to pismo hieroglifami było trudne, a nauka pisania trwała wiele lat, lecz uczony mógł już swe myśli utrwalić, przekazać potomności. Mimo pisma hieroglifowego posiadamy mało wiadomości o całym przepychu życia faraonów, o mądrości kapłanów egipskich, o całej tej zamierzchłej, starożytnej cywilizacji.

Lecz nie dajmy się trudnościami odstraszyć, i cofnijmy się myślą wiele, wiele tysięcy lat poza czasy Menesów, Cheopsów, Hamurabich (Hamurabi, król Babilonu ok. r. 2200 przed Chr.), i to w okolice Tarnowa, Krakowa, Drezna, Paryża. Znajdziemy się wśród bujnej roślinności podzwrotnikowej, wśród drzew figowych, między któremi czai się olbrzymi tygrys, macherodus, przechadza się poważnie niedźwiedź jaskiniowy o łbie wypukłym i wielkiej czaszce, i hipopotam daleko potężniejszy, niż obecny. Wśród tego otoczenia spostrzegamy i człowieka.

W powietrzu przepełnionem wilgocią i żarem słońca nie potrzebuje odzieży. Oto biegnie on nad brzeg pobliskiej rzeki i znosi ku swej grocie kamienie i głazy, jako broń przed drapieżnemi zwierzętami, z któremi często stacza śmiertelne walki z różnem szczęściem. Żona jego ochrania potomstwo od wrogów i pilnuje, by nie wygasł ogień, który ich ochrania przed drapieżnemi zwierzętami. Człowiek musiał się wiele natrudzić nim silnemi uderzeniami krzemienia skrzesał iskry i rozniecił ogień. Lecz oto człowiek zaczyna inną pracę ,godzinami całemi ociosuje kamienie, w czem mu i żona pomaga często, aby przygotować sobie broń. Owoców leśnych małżonkowie mają dosyć, lecz by zmienić jednostajność pożywienia, człowiek bierze swą ciężką broń kamienną i wyrusza na polowanie z najstarszym synem. Wkrótce myśliwi spotkali wielkiego jelenia, którego rogi sięgały trzech metrów rozpięcia. Musieli podstępnie podejść upragnioną zdobycz i stoczyli ze swą ofiarą ciężką walkę, zwycięską dla myśliwych.

W powrotnej drodze spotkali się nasi znajomi ze strasznym macherodusem i musieli zdobycz pozostawić, a sami chronić się na drzewo, skąd rzucali na wroga grube, zeschłe gałęzie. Na drugi dzień cała rodzina ucztowała, rzucając kości tuż u wejścia do groty. Ponieważ dzień był piękny, a rodzina ludzka miała poddostatkiem pożywienia i była bezpieczną od napaści wrogów, co było głównemi i jedynemi troskami, nasz znajomy przygotował sobie ostry, krzemienny rylec i począł rysować jelenia i tygrysa, z którymi poprzedniego dnia stoczyli ciężką walkę.

Lecz może to tylko fantazja. Bynajmniej, niedawno natrafiono we Francji na takie przedhistoryczne groty ludzkie. Na ścianach groty były wyryte nieudolnie wprawdzie postacie zwierząt, które już dawno wyginęły, a przed grotami leżały całe stosy skamieniełin kostnych. Nasz znajomy zginął podobno w walce z dzikim zwierzem, lecz potomstwo jego dalej prowadziło walkę ze zwierzętami i przyrodą — aż po dzień dzisiejszy.

Jan Pelczar.



Uwolnienie Gandhiego.

Wiele kłopotu władzom angielskim sprawia w Indjach Mahatma Gandhi, przewódca Hindusów. Jest to marzyciel - zapaleniec. Chciałby on swych rodaków wyswobodzić zupełnie z pod panowania angielskiego, to też walczy z Anglikami w oryginalny sposób. Jeżeli chce tylko uzyskać jakieś ustępstwo od Anglji, zarządza wówczas głodówkę i nie przyjmuje pokarmów dotąd, póki owego ustępstwa nie uzyska. Już kilkakrotnie był przez władze angielskie więziony. W więzieniu urządzał głodówkę i zmuszał tem Anglików do wypuszczenia go na wolność. W maju odbył również taką głodówkę i nie jadł, póki nie wypuszczono go z więzienia. Na naszym obrazku widzimy pośrodku Gandhiego w okularach ze zwieszoną głową na chwilę po opuszczeniu więzienia. Towarzyszą mu jego wielbiciele hinduscy.



Poradnik gospodarczy.

Krzewy owocowe.

Dobrze myślący człowiek, przechodząc przez nasze wioski i widząc koło płotów, czy stodół całe lasy pokrzyw, rdestów i innych chwastów, zapytuje w duchu ze zgrozą, dlaczego nasi włościanie tak pielęgnują te paskudztwa, nie mając z nich najmniejszej korzyści? Wszak na temsamem miejscu możnaby mieć piękne agresty, porzeczki, czy maliny, które nie wymagają więcej pielęgnacji od pokrzyw, a są dla oka estetyczniejsze, a dla człowieka pożyteczniejsze.

Jeżeli już ostatecznie gdzie zobaczymy agrest, maliny, czy porzeczki, to rosną one zupełnie dziko, nie przynosząc tej korzyści, jaką przyniesćby mogły. Szczególniej malin jest u nas zbyt mało. A przecież maliny właśnie są od agrestu i porzeczek smaczniejsze i wymagają od nich mniej starania. Sok malinowy, domieszany do wody, stanowi znakomity środek orzeźwiający, można go dodawać do wódki, używać do legumin i spożywać, jako owoc deserowy. Krzew malinowy jest najmniej wymagający pod względem miejsca i wymagającym najmniej starania w czasie hodowli.

Krzew malinowy nie potrzebuje właściwie żadnej pielęgnacji. Odmładza on się co roku sam i suche gałązki znikają też same. Kto chce, aby krzewy wyglądały ładnie, może suche pędy i gałązki zebrać w późnej jesieni lub wczas na wiosnę, a nie jest to znowu zbyt wielka robota.

Rozkrzewianie malin nie kosztuje też ani pracy, ani pieniędzy. Podczas gdy rozmnażanie krzewów porzeczek i agrestu odbywa się przez rozsadzanie latorośli, włożonych w ziemię na dwa palce głębokości, rozkrzewiają się maliny o wiele prościej: oddziela się boczne pędy siekierą od krzewu głównego, a że pędy dużo mają korzonków, przeto można je zaraz sadzić. Zasadzone wcześnie na wiosnę rodzą tego jeszcze roku. A jeżeli w temsamem miejscu chce ktoś więcej obszaru poświęcić na maliny, to ani ich rozsadzać nie trzeba, gdyż same one się w dostatecznej mierze rozrosną.

Maliny nie wymagają ponadto zbyt dużo nawozu. Owszem, jeżeli ziemia jest zanadto znawożona, to maliny się rozrastają, a wydają mało owocu. Cokolwiek gnojówki wystarcza im zupełnie.

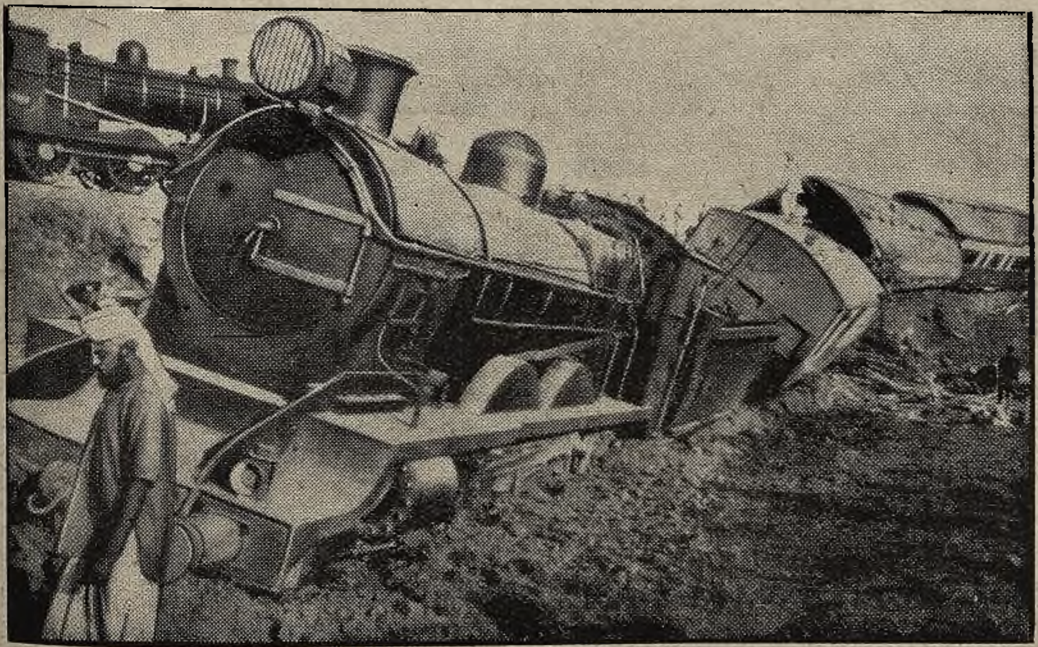
Sadząc maliny, trzeba jeden krzak od drugiego sadzić w odstępach metrowych. Najlepiej maliny sadzić wzdłuż płotu w jednym rzędzie.

Ponieważ głównym pożytkiem z malin jest sok malinowy, przeto trzeba wiedzieć, w jaki sposób najłatwiej się go przyrządza. Otóż należy zaniechać gotowania soku, lecz należy go przyrządzić na drodze zimnej, gdyż jest on również doskonały, a wymaga mniej zachodu. Przepis jest następujący:

Włożyć wieczorem litr świeżo zerwanych malin (taksamo postępuje się z porzeczkami i jeżynami) w miskę, zalać litrem zimnej wody i dodać za kilka groszy kwasu winnego. Wszystko razem stać musi przez noc, a więc 12 godzin. Nazajutrz zlać wytworzony (nie wyciśnięty) sok na inną miskę. Owoc, chociaż sok zupełnie z niego wyszedł, wydaje się teraz po odlaniu soku jeszcze świeższym, niż był dnia poprzedniego i posypany grubo cukrem jest doskonałym kompotem, lecz musi być natychmiast zjedzony.

Odlany sok należy zmieszać z 1 i pół funta miałkiego cukru i po upływie 20 minut można go już nalewać do butelek, których nie należy zatykać korkiem, tylko zawiązać płócienną szmatką i wstawić do piwnicy. Sok taki, jeżeli piwnica nie jest zbyt zimna, trzymać się może sześć do ośmiu lat i smakuje, jak owoc świeżo zerwany. Najlepiej zlewać go w małe butelki, ponieważ latem, stojąc w ciepłym pokoju, łatwo fermentuje.

Sok malinowy, porzeczkowy lub jeżynowy, zmieszany z wodą, jest doskonałym napojem.



Straszna katastrofa kolejowa w Indjach.

Pomimo nadzwyczajnych ulepszeń jeszcze zbyt często zdarzają się w całym świecie katastrofy kolejowe. Oto w Indjach między Durmą a Burhee nie wiadomo z jakiego powodu rozluźniły się szyny. Lokomotywa pędzącego po nich pociągu zsunęła się z nich, zarywając się głęboko w rozmokniętą ziemię. Skutki tego okazały się straszne; 5 osób poniosły śmierć na miejscu, 13 zostało ciężko rannych. Zarytą lokomotywę w ziemię widzimy na naszym obrazku.

KRONIKA.

Pogoda w czerwcu. Według przepowiedni astrologicznych w czerwcu do dnia 10 ma być pogoda niestała przy zmiennem zachmurzeniu nieba z dłuższemi rozpogodzeniami. Lokalne deszcze z burzą i gradem. Wahania temperatury; noce chłodne. W drugiej dekadzie od 11 do 20 czerwca pogoda zmienna lub mglista i wietrzna. Z początku jeszcze dość chłodno, poczem nastąpi większe ocieplenie. Skłonność do deszczu, częściowo pochodzenia burzowego. W pierwszych dniach trzeciej dekady (od 21 do 30 czerwca) pierwsze dni cechuje pogoda parna i ciepła z większem zachmurzeniem. Aura wietrzna i burzliwa, gdzieniegdzie niepogoda. W następne dni pogodniej i dość ciepło. Jedynie w końcu dekady możliwe pogorszenie się pogody. A no, zobaczymy, czy tak będzie.

Napad rabunkowy w Krakowie. W piątek dnia 2 b. m. do mieszkania Marji Okarmusowej, zamieszkałej przy ulicy Kazimierza Wielkiego w Krakowie, w czasie nieobecności jej męża, wtargnęło o godzinie pół do 10 w nocy trzech uzbrojonych bandytów. Jeden z rzezimieszków pchnął Okarmusową w pierś, a potem przyłożywszy jej nóż do piersi i zasłoniwszy oczy, zagroził przebiciem, gdyby się ruszyła. Inni dwaj jego towarzysze z niezamkniętej szafy skradli 380 złotych, oraz garderobę męską, damską i dziecinną. Gdy opryszkowie zaczęli uciekać, zwolniona Okarmusowa narobiła krzyku. Wybiegli sąsiedzi i puścili się w pogoń za opryszkami. Ci, widząc niebezpieczeństwo, porzucili bieliznę i ubrania, zdołali jednak zbiec z pieniądzmi.

Kloc zabójcą. W Szczyglicach za Mydlnikami jechała drogą fura, wysoko naładowana drzewem. Obok wozu postępował uczeń, Bolesław Kamiński, liczący 13 lat. W pewnym momencie z fury spadł kloc drzewa, uderzając Kamińskiego w głowę. Chłopak stracił przytomność. W czasie odwożenia go do szpitala w Krakowie zmarł w karetce pogotowia ratunkowego.

Tajemniczy trup w Przywozie. W Przywozie koło Krakowa znaleziono zwłoki jakiegoś młodego człowieka w bestjalski sposób pokłóte nożem. Ponieważ przy zabitym nie było żadnych dokumentów, więc nie wiadomo było, kim był zamordowany. Dzięki sprawności policji udało się stwierdzić nazwisko zamordowanego. Był nim prywatny student teologji Lechowicz. Zachodziło teraz pytanie, kto go zamordował. Policja stanęła przed zagadką. Wykryto jednak kobietę, którą widziano na miejscu mordu, zanoszącą się od płaczu. Kobieta ta zeznała, że Lechowicz był jej kochankiem, a ponieważ miała ona jeszcze dwóch innych kochanków, więc ci go zamordowali. Podejrzenie padło wówczas na współlokatora zamordowanego Bolesława Olejniczaka słuchacza filozofji. Zarządzono w mieszkaniu rewizje i znaleziono zakrwawioną koszulę. Olejniczaka aresztowano. Morderca przyznał się do popełnienia strasznej zbrodni, nic jednak nie wie ani o owej kobiecie ani o miłostkach zamordowanego. Jako powód strasznego czynu Olejniczak podaje, że obydwaj ze zamordowanym szli do Mogiły. W czasie podróży powstał między nimi spór, w czasie którego Lechowicz uderzył Olejniczaka w twarz. Wówczas ten dobył scyzoryka i zadał swemu przeciwnikowi kilkanaście śmiertelnych ran.

Tajemnicze morderstwo pod Krynicą. Robotnicy, zdążający do Krynicy, znaleźli w odległości 120 metrów od leśniczówki na Kopciowej pod Krynicą leżącego w kałuży krwi mężczyznę, dającego słabe oznaki życia. Stwierdzono wówczas, że otrzymał on ranę postrzałową w okolicę nerek. Robotnicy zawiadomili o tem natychmiast policję w Krynicy. Na miejsce przybyła natychmiast policja, która jednak znalazła nieszczęśliwego w zupełnie innej pozycji, aniżeli znajdował się poprzednio, a co ważniejsza, stwierdzono, że w międzyczasie otrzymał nową ranę w skroń, która bezpośrednio spowodowała jego zgon. Zabitym okazał się Alfred Cetlak, właściciel zakładu ogrodniczego w Zagórzanach ad Krosno, liczący 37 lat, który po zainkasowaniu znacz niejszej kwoty opuścił o północy Krynicę, wracając rowerem do domu. Cetlak przed wyjazdem zabawiał się z nieznanymi dotychczas osobnikami, którzy prawdopodobnie zamordowali go z jego własnego rewolweru. Mordercy, czy morderca, widząc, że po odejściu robotników Cetlak jeszcze żył, dobili go powtórnym strzałem. Pieniędzy przy zamordowanym nie znaleziono.

Zamordowanie głuchoniemej. W Żaszkowie koło Lwowa zamordowana została w zagadkowych okolicznościach głuchoniema dziewczyna, 18 letnia Elżbieta Mangold. Jak wykazała przeprowadzona sekcja zwłok, Mangoldówna została uduszona. Śledztwo wykazało, że potwornej zbrodni dopuściły się dwie krewne nieszczęśliwej: Katarzyna Mangoldówna i Anna Lampika. Motywem zbrodni była chęć zagarnięcia majątku, zapisanego przez ojca upośledzonej dziewczynie. Obie morderczynie aresztowano.

Dziecko za 40 dolarów. Karol i Julja Stankiewiczowie z Podwołoczysk byli winni siostrze Julji, Annie Skałowej ze Zbaraża, 40 dolarów tytułem części spadkowej. Anna upominała się o swą należytość, ale bezskutecznie. Widząc, że dobrowolnie nie otrzyma swych pieniędzy, Anna przybyła do Stankiewiczów jeszcze raz po pieniądze. Ale i teraz ich nie dostała. Nie robiła jednak awantur, a w sposób nadzwyczaj przyjacielski rozmawiała z dzieckiem, a potem wyszła z niem rzekomo na przechadzkę i więcej nie wróciła. Stankiewiczowie wszczęli poszukiwania i przekonali się, że ciocia zabrała dziecko ze sobą. Stankiewicz udał się do Zbaraża po dziecko, ale tu Skałowa oświadczyła mu, iż odda dziecko, gdy otrzyma należne jej pieniądze. Stankiewicz udał się więc na policję z zażaleniem. Policja dziecko odebrała i oddała Stankiewiczowi.

34 stodół w ogniu. Z Sosnowca donoszą: Pod Siebierzem wybudowali sobie gospodarze w sąsiednim lasku szereg stodół, aby tym sposobem uchronić je od spłonięcia w razie ewentualnego pożaru. I właśnie z nie wyjaśnionych dotychczas przyczyn wszystkie te stodoły spłonęły. Mimo natychmiastowej i energicznej akcji nie uratowano ani jednej. Ogólne straty wynoszą przeszło 30.000 złotych.

Tragiczny spór o gołębie. Do czego może doprowadzić zacietrzewienie ludzkie, świadczy straszna tragedja, jaka wydarzyła się we wsi Klaudyn pod Warszawą. Oto między rodzinami Uwastowskich a Selerskich wybuchł spór o kradzież gołębi. 21 letni Czesław Uwastowski posądził swego rówieśnika Wiktora Selerskiego o kradzież gołębi. Selerski zaskarżył Uwastowskiego o oszczerstwo, a sąd skazał oszczercę na 40 złotych kary. Od tego czasu rozpoczęły się pomiędzy dwoma rodzinami bójki i krwawe napady, które doprowadziły wreszcie do śmiertelnej tragedji. Kiedy o 10 wieczór wracał do domu Wiktor Selerski, przeciwnik jego Czesław Uwastowski zaczaił się za drzewem i do przechodzącego wystrzelił, raniąc go śmiertelnie w okolicę serca. Na odgłos strzałów wybiegła matka, a następnie ojciec, który zabrał zwłoki zabitego, poczem, zrozumiawszy, że syna jego zabił Uwastowski, skierował się ku domowi Uwastowskich. Nie uszedł jednak jeszcze ani kilku kroków, gdy od domu Uwastowskich padło kilka strzałów, a stary zwalił się na ziemię. Przewieziono go do Warszawy do szpitala, gdzie wkrótce zmarł. Czesława aresz-

towano. Stary Selerski pozostawił żonę i 7 dzieci, młody żonę i jedno dziecko.

Zabłądził do cudzej żony. Sąd warszawski będzie miał trudną sprawę do rozstrzygnięcia. Oto do sypialni pani Marji S. oczekującej na powrót męża, wszedł sąsiad z innego piętra p Ryszard N. i po cichutku rozebrał się i wsunął do łoża pani Marji. Światła nie rozpalał, bo przyzwyczajony był rozbierać się po ciemku. Pan Ryszard i pani Marja obudzili się dopiero rano. Jakież było ich zdziwienie, kiedy znaleźli się w tak niespodziewanem towarzystwie. Pan Ryszard był podobno zadowolony z pomyłki, ale mniej zadowoloną była pani Marja. Nie dlatego, aby jej wizyta była nieprzyjemna, ale dlatego, gdyż obawiała się języków znajomych. Z konieczności udała więc bardzo oburzoną i zaskarżyła pana Ryszarda do sądu. Pan Ryszard tłomaczy się, iż nie zauważył pomyłki, że był pewny, iż spoczywa przy boku swojej żony, a zresztą, że był nieco podchmielony, więc nie zupełnie pamięta, jak i co było. Może najlepiejby było, aby sąd kazał pani Marji odspać jedną noc u pana Ryszarda? Sprawiedliwości stałoby się zadość.

Sprzedał cudzy las. Do Warszawy przybył z Białegostoku kupiec Owsiej Abramowicz, który tu poznał jakiegoś pana, podającego się za Ostrzege-Ostrzeżyńskiego. Ów rzekomy Ostrzeżyński przedstawił się jako właściciel majątku na Polesiu i zaproponował Abramowiczowi sprzedaż lasu. Umówiono się dobić targu w po wiecie kobryńskim na leśniczówce. Po kilku dniach kupiec udał się do Kobrynia stosownie do umowy, gdzie na dworcu czekała na niego bryczka. Ta zawiozła go na leśniczówkę, gdzie oczekiwał nań ów Ostrzeżyński. Dobito targu i Abramowicz wręczył Ostrzeżyńskiemu 2.000 dolarów za zakupiony las. Kiedy po pewnym czasie nowonabywca przysłał ludzi do cięcia lasu, rzeczywisty właściciel lasu oświadczył, iż wogóle lasu nie sprzedawał, a żadnego Ostrzeżyńskiego nie zna. Zawiadomiono policję i ta dopiero wykryła, że ów pan Ostrzeżyński, to jakiś pisarczyna z Warszawy nazwiskiem Strzeszewski. Chciano go aresztować, ale panicz znikł z dolarkami.

Pakt przyjaźni czesko-polskiej. Jak donoszą z Pragi, w najbliższym czasie ma być zawarty pomiędzy Czechami a Polską pakt trwałej przyjaźni. Celem ostatecznego ułożenia tego paktu pojedzie do Pragi polski minister spraw zagranicznych Beck, poczem przyjedzie do Warszawy czeski minister spraw zagranicznych Benesz, aby pakt ów podpisać.

Z Katowic do Wiednia pod wagonem kolejowym. Policja wiedeńska spostrzegła jakiegoś człowieka, który spał na piasku w wagonie kolejowm. Człowiek ten, pociągnięty do odpowiedzialności, oświadczył, że nie posiada żadnych dokumentów osobistych i że jest elektrotechnikiem z Polski, nazwiskiem Józef Wodnicki. W Katowicach niespostrzeżenie dostał się pod wóz pociągu pospiesznego Warszawa-Wiedeń i na osi wozu odbył całą podróż. Oświadczył, iż pragnie dostać się do Francji, a pieniędzy na podróż nie posiada. Wodnickiego zatrzymano chwilowo w aresztach policyjnych.

Mąż i żona w zaprzęgu. Zabawna choć niemiła przygoda spotkała małżonków Janiszewskich z Bydgoszczy. Janiszewscy, mając do załatwienia jakąś sprawę w Koronowie, udali się tam własnym wozem. Uporawszy się pomyślnie z interesem, późnym wieczorem wsiedli w wesołym nastroju na wóz i puścili się w drogę. Noc była gwiaździsta, ciepła a spokój i cisza, jaka się roztaczała wokół, znakomicie usposabiała do drzemki. Toteż nic dziwnego, że małżonkowie po trudach dnia obydwoje posnęli. Szkapa, nie kierowana żadną ręką, wlokła się powoli, a wreszcie zatrzymała, aby poskubać nieco świeżej trawy. Skorzystał z tego jakiś złośliwy przechodzeń, odprzągł konia i puścił go wolno. Po niejakimś czasie obudził się Janiszewski i śmignął konia batem. Ale wóz nie ruszał. Przetarł oczy i ze grozą przekonał się, iż konia niema przy wozie. Sprzeklinał babę, ta zwymyślała go nawzajem, ale koń przez to wcale się nie znalazł. Zrozpaczeni małżonkowie sami zaprzęgli się do wozu i zaciągli go do Bydgoszczy, odległej o 17 kilometrów. Kiedy przyciągli wóz do domu, pierwszy powitał ich wesołem rżeniem ich utracony koń, który wcześniej od nich powrócił do swojej stajenki. Uszczęśliwieni małżonkowie zapomnieli o trudach podróży.

O kanonizację królowej Jadwigi. Na terenie Wilna i większych miejscowości w archidjecezji wileńskiej zbierane są podpisy na prośbie episkopatu polskiego, aby ten przedstawił Ojcu świętemu pragnienie narodu polskiego zaliczenia królowej polskiej Jadwigi, żony Władysława Jagiełły, w poczet świętych.

Potworna zbrodnia w lesie. W lesie ponarskim koło Wilna znaleziono zwęglone zwłoki kobiety na wygasłem palenisku. Jak wykazało śledztwo, kobieta owa została najpierw uduszona. Po zamordowaniu nieszczęśliwej ofierze zbrodni obcięto nogi i pokrajano trupa, poczem ułożono na stosie i stos podpalono. Koło stosu porzucono ubranie wiejskiej dziewczyny, ale nie było to ubranie zamordowanej, gdyż drobne strzępy, pozostałe na rękach ofiary, były jedwabne, co świadczy, iż zamordowana pochodzi ze sfer bogatszych. Okoliczni włościanie zeznają, że widzieli jadące tam auto bez numeru, w którym jechały trzy osoby. Z powodu braku bliższych danych śledztwo jest bardzo utrudnione.

Zwycięstwo hitlerowców w Gdańsku. Z końcem maja zostały przeprowadzone wybory do sejmu gdańskiego. Na ogólną sumę 72 mandatów zdobyli hitlerowcy 38 mandatów, a więc dwa ponad absolutną większość, socjaliści 13, centrum 10, komuniści 5, niemiecko-narodowi 4 i Polacy 2 mandaty. Wobec tego sami hitlerowcy będą mieć w nowym sejmie większość. W poprzednim sejmie hitlerowcy mieli 12 mandatów, socjaliści 19, centrum 11, komuniści 7, niemiecko-narodowi 10, Polacy 2, resztę mandatów posiadały rozbite dziś partje mieszczańskie.

Pożar składów amunicji. W twierdzy kronsztadzkiej w pobliżu Leningradu (Petersburga) spłonęły olbrzymie składy amunicji. O rozmiarach pożaru świadczy fakt, że łuna była widoczną z wybrzeża fińskiego, gdzie też było słychać silne odgłosy detonacji. Pożar ów władze sowieckie trzymają w tajemnicy, panuje jednak powszechne przekonanie, że magazyny owe podpalili kontrrewolucjoniści, to jest ci, którzy są niezadowoleni z rządów bolszewickich. Podobno miało zginąć od wybuchów kilkadziesiąt osób. Dalsze szczegóły podadzą prawdopodobnie dopiero później gazety zagraniczne.

Tragedja miłosna. Na dorocznem święcie studenckiem w Morawskiej Ostrawie wielotysięczne tłumy publiczności bawiły się wesoło, gromadząc się około bud tanecznych i kramów z artykułami na sprzedaż. Nagle odgłos wystrzałów przerwał wesołą zabawę. W wesołym nastroju ujrzano, jak jakiś młody człowiek skierował broń w stronę młodej dziewczyny, która trafiona, kulą w głowę, z okrzykiem bólu padła na ziemię. W mgnieniu oka młodzieniec skierował następnie broń przeciw sobie i popełnił samobójstwo. Ranną dziewczynę przeniesiono natychmiast do szpitala, gdzie wkrótce wyzionęła ducha. Wdrożone natychmiast śledztwo ustaliło, iż mordercą i samobójcą był 21 letni urzędnik skarbowy z Morawskiej Ostrawy, Wilhelm Duraj. Ofiarą jego padła 20 letnia córka hotelarza, Adela Balner, w której Duraj kochał się bez wzajemności.

Zacięte walki na ulicach Innsbrucka. Na ulicach Innsbrucka polała się krew wskutek demonstracji hitlerowców przeciw Heimwehrze. Hitlerowcy usiłowali przypuścić szturm do koszar Heimwehry. Wobec tego straż Heimwehry rozwinęła się w łańcuch tyraljerski i poczęła strzelać do atakujących, raniąc ciężko czterech. Oddział Heimwehry cofnął się następnie do koszar. Dalszemu atakowi na koszary Heimwehry przeszkodziło wojsko, które wyruszyło w sile trzech kompanij. Wojsko oczyściło śródmieście, usunęło karabiny maszynowe i zasieki z drutów kolczastych. W ciągu całego dnia rannych zostało 36 osób. 18 demonstrantów aresztowano za opór władzy. Hitlerowcy otwarcie grożą zbrojnem wystąpieniem przeciw rządowi.

Żony na raty. Kryzys daje się wszystkim i wszędzie we znaki. Nic więc dziwnego, że w Serbji w okolicy historycznej miejscowości Kossowo nawet żony kupuje się na raty. Dawniej młodzieniec żeniący się wpłacał rodzicom odrazu większą kwotę, obecznie jednak nie może podołać temu zadaniu i wpłaca ową sumę w czterech ratach. Przed kryzysem dobra żona kosztowała 4 do 5 tysięcy złotych, dziś można ją dostać znacznie taniej. Jeżeli młodzieniec upatrzy sobie dziewczynę za żonę, daje najpierw na nią 500 do 700 złotych zadatku; po roku daje dalszą ratę tej samej wysokości; w trzecim i czwartym płaci po 1.000 złotych. Jeżeli ktoś nie zapłaci całej kwoty, to wówczas ojciec z braćmi przychodzą z kijami i odbierają niezapłaconą żonę.

Obrabowanie synagogi przez hitlerowców. W Manheim w Niemczech trzech umundurowanych hitlerowców wtargnęło do tamtejszej synagogi. Napastnicy zdemolowali całkowicie wewnętrzne urządzenie synagogi, drąc i rzucając na podłogę książki modlitewne oraz inne rytualja. Wartościowe przedmioty ze srebra i złota zabrali sobie za fatygę.

Głupie pomysły Niemców. Przed niejakim czasem Niemcy agitowali w świecie, aby przeprowadzić swój pomysł, a mianowicie, by dać Polsce za Pomorze... Ukrainę. Obecnie nadchodzą z Danji wiadomości, że ów sławny Rosenberg, którego Anglicy wyprosili z Anglji, opowiada tam, iż dążeniem Niemiec jest, aby Polska połączyła się unją z Litwą, przez co otrzymałaby dostęp do morza i port w Kłajpedzie, a wówczas bez straty (!) dla siebie mogłaby odstąpić Pomorze Niemcom. Są to pomysły wprost głupie, bo po pierwsze Polska za żadną cenę nie odstąpiłaby ziem zamieszkałych przez Polaków, a po drugie przecież ani Litwa ani Ukraina nie należą do Niemiec, więc ich nikomu ofiarować nie mogą. Na nowy pomysł niemiecki odpowiedział doskonale minister litewski Zaunius, a mianowicie że jak się Litwa będzie chciała z Polską porozumieć, to nie będzie zupełnie prosiła Niemiec o pośrednictwo.

Bestjalstwo hitlerowców. Z obozu koncentracyjnego w Lignicy zbiegło kilku komunistów, a między nimi redaktor „Rothe Fahne" z Królewca. Straż graniczna dopędziła ich w pościgu koło wsi Filipowo na granicy Prus Wschodnich. Hitlerowcy niemieccy, tworzący ową straż graniczną, stoczywszy ze zbiegami walkę, oblegli ich w szopie, wzywając do poddania się. Gdy oblężeni nie usłuchali wezwania, hitlerowcy podpalili szopę, nie dając z niej wyjść nikomu. Wszyscy zbiegowie wraz z szopą spłonęli.

Pogromy żydów w Hannowerze. W ubiegłym tygodniu na terenie Hannoweru powtórzyły się najgwałtowniejsze zajścia antyżydowskie, przyczem w biały dzień odbywało się rozbijanie szyb wystawowych na jedną komendę w różnych częściach miasta. Ofiarą tych zajść padły wyłącznie sklepy żydowskie. Policja nie przeszkadzała zupełnie pogromom.

Św. Antoni doktorem Kościoła. OO. Franciszkanie czynią starania, aby Ojciec św. ogłosił św. Antoniego Padewskiego doktorem Kościoła. Tytuł ten w Kościele katolickim nadawany jest bardzo rzadko. Ostatni otrzymał go św. Albert Wielki, nauczyciel św. Tomasza z Akwinu.

Aresztowanie króla bandytów korsykańskich. Słynny bandyta korsykański Spada, który przez 11 lat uchodził bezkarnie przed pościgiem żandarmerji, został nareszcie schwytany. Spada znajdował się od niejakiego czasu w stanie nienaturalnie wzburzonym, jakgdyby miał pomieszanie zmysłów. Chodził od wioski do wioski, półrozebrany, z koroną na głowie i obrzymim krzyżem na piersiach. Przed kościołami klękał, modlił się i wołał: „Mój Boże, cóżem uczynił!!" Żandarmerja aresztowała go w nocy. Spada nie stawił żadnego oporu. Zasadniczo grozi mu kara śmierci za rabunki i morderstwa, ale wobec obłędu może być nawet zupełnie od kary uwolniony.

Bratobójstwo. Krwawy dramat chłopski na tle żądzy przywłaszczenia sobie ziemi rozegrał się w małej wiosce francuskiej Lantillac. Przed miesiącem zmarł tam rolnik Pillet i zostawił majątek żonie i swoim dzieciom, córce i dwom synom. Dzieci wraz z matką gospodarowały wspólnie, nie podobało się to jednak starszemu synowi, Janowi, nałogowemu pijakowi, który chciał zagarnąć cały majątek dla siebie. Postanowił więc zgładzić siostrę i starszego brata. Zamach na siostrę nie udał się. Natomiast młodszy brat Emil padł ofiarą jego zbrodniczych zamierzeń. Gdy Emil wypoczywał w polu po pracy, pijany Jan, który odznaczał się nadzwyczajną siłą, rzucił się na niego z rydlem w ręce. Wywiązała się zacięta walka między braćmi. Wkońcu Emil ugodzony dwukrotnie w głowę ostrzem rydla padł na ziemię i zakończył życie. Zbrodniarz po dokonaniu strasznego czynu zbiegł, ale wkońcu ujęto go i osadzono w więzieniu. Zwłoki zabitego znalazła matka dopiero w nocy.

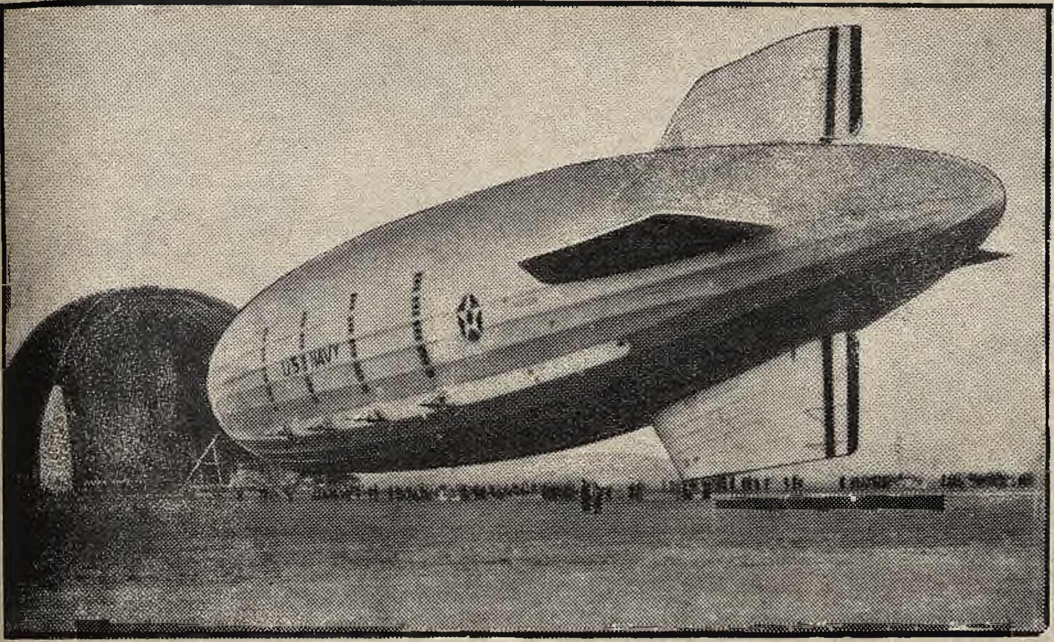
Pierścionek powodem śmierci. W Anglji istnieje zwyczaj, że kobieta, owdowiawszy, przekłada obrączkę ślubną z prawej ręki na lewą. Po tem można poznać, która z nich jest mężatką, a która wdową. Zwyczaj ten przepłaciła życiem Prudencja Kirby, 75-letnia staruszka w Londynie. Kiedy jej umarł mąż, chciała przełożyć obrączkę ślubną z palca prawej ręki na palec lewej ręki. Ale obrączka nie chciała zejść z palca, na którym przebywała przez lat 50. Pani Kirby chciała ją ściągnąć przemocą. Dokazała wreszcie tego, ale pokaleczyła sobie palec. Gdy jej palec poczerniał i zaczął puchnąć, wezwała lekarza, było jednak zapóźno, gdyż dostała zakażenia krwi, a nazajutrz wskutek tego umarła.

Olbrzymi pożar lasów. Na wschodnich wybrzeżach Sachalinu wybuchł pożar lasów. Pożar objął 18 tysięcy akrów lasu. Spłonęło przy tej sposobności kilka wsi. W rejonie Tomrigisi i Doechara ilość ofiar ludzkich wynosi kilkaset osób. W gaszeniu pożaru wzięło udział 5.000 żołnierzy.

Kosztowne narzeczeństwo. Jeszcze w roku 1926 sławny zapaśnik polski Stanisław Zbyszko-Cyganiewicz poznał w kanadyjskiem mieście Winnipeg pannę Buszkównę, a zawarłszy z nią znajomość, obiecywał jej ożenić się z nią. Potem jednak rozmyślił się i zerwał z narzeczoną. Zawiedziona panienka zaskarżyła Cyganiewicza o odszkodowanie, żądając 25 000 dolarów. Sąd uznał częściowo jej żądania za słuszne i przysądził jej 18.000 dolarów odszkodowania. Będzie miała czem obetrzeć łzy po utracie narzeczonego.

Zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Rzeczy ciekawe.



Nowy olbrzym powietrzny.

W numerze 18 »Roli« podaliśmy obrazek największego olbrzyma powietrznego Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. nazwiskiem »Akron«, który spłonął w czasie pierwszego lotu i wpadł do morza, pociągając za sobą 72 ofiar. Lepiej udało się jego następcy okrętowi powietrznemu »Macon«, który pierwszy lot odbył szczęśliwie. Podobiznę jego widzimy na naszym obrazku. Jest to olbrzym, mogący zabrać na swój pokład kilkadziesiąt osób obsługi i znaczną ilość materjału wojennego w postaci bomb celem zrzucenia ich z powietrza na przeciwników.

Diament na dziwnej poduszce.

Na wszechświatowej wystawie w Chicago wystawiony będzie największy diament, istniejący na kuli ziemskiej, a mianowicie diament Nassak.

Wydarty został z posągu boga hinduskiego Sziwy w Nassak. Oceniano go na sumę 250.000 funtów szterlingów.

Diament znajdować się będzie w specjalnym gabinecie na poduszce, która wrazie alarmu zapada się momentalnie w głąb safesu.

W pobliżu szafki stać będzie straż w maskach gazowych i sam safes zaopatrzony będzie w specjalny przyrząd dla wyrzucania gazów, oraz t. zw. „oko elektryczne", czyli dzwonek fotoelektryczny, dający alarm w chwili, gdy ktoś przekroczy niewidoczny promień tego oka.

Diament ten będzie największą ozdobą pawilonu klejnotów na wystawie chicagowskiej, który to pawilon posiadać będzie wspaniałe klejnoty, m. in. djamenty z Kimberley w południowej Afryce.

Łącznie reprezentowanych będzie 3.000 karatów diamentów.

Włosy, ozdoba kobiety.

Fryzury kobiece i brody męskie były od najdawniejszych czasów z niezwykłą troskliwością pielęgnowane. Nawet wśród wykopalisk przedhistorycznych epok znajdywano brzytwy i szpilki do włosów z drzewa, rogu i bronzu. A na jednej z płaskorzeźb rzymskich sarkofagów widzimy dwie postacie kobiece, z których jedna ma włosy falisto spadające na ramiona a druga głowę okrytą welonem. Są to prawdopodobnie najbardziej prymitywne fryzury.

Włosom Greczynek przypisywano jakąś magiczną siłę. Wierzono, że potęga i niezwykle znamiona indywidualności mają siedzibę swoją we włosach. W okresie romantyzmu ucięty pukiel włosów był zadatkiem miłości i wierności. Już Ovidiusz powiedział, że łatwiej policzyć żołędzie na dębie, niż najrozmaitsze rodzaje fryzur niewieścich. Jest to całkiem zrozumiałe, gdyż włosy są głównym składnikiem piękności kobiecej. Ale choć moda ustawicznie zmienia rodzaje fryzur tak, jak krój sukien, jednak pomimo to, od czasu do czasu, w rozmaitych epokach powtarzają się tesame zasadnicze rysy sposobu czesania się. Kobiety w najrozmaitszych czasach nosiły już krótko obcięte włosy a często skręcone w loki jak wełna owcza. Dziś również znowu zaczynają być modne loki, noszone z boku albo tyłu głowy a to dlatego, że kapelusze nosi się nasunięte bardzo na czoło a kark jest zupełnie odsłonięty. Uczesanie to harmonizuje również z długiemi, sezrokiemi sukienkami, jakie nam moda, zwłaszcza w wieczór, nosić każe.

Jednak widzi się pewną tendencję do powrotu do długich włosów, ale zadużo kobiet przyzwyczaiło się do wygody krótkich, więc trudno dziś rozstrzygnąć, jaki prąd zwycięży. W każdym razie mistrze fryzjerscy umieją i długie włosy tak ułożyć, że robią wrażenie krótkich a modne dziś loki są świetnym środkiem pomocniczym w tym kierunku.

Miasto grzybów.

Głęboko w ziemi, pod jedną z najelegantszych dzielnic Paryża, o 100 stóp poniżej poziomu ulicy de la Paix i placu Joanny d'Arc, znajduje się „miasto grzybów". Miasto to nie jest oznaczone na żadnym planie Paryża, który można nabyć na dworcu kolejowym lub w kiosku z gazetami. Na terenie tego podziemnego miasta znajdują się plantacje grzybów, owych słynnych „champignons de Paris", t. j. trufli, wysoko cenionych przez smakoszy całego świata.

„Miasto grzybów" jest jednem z największych i najdziwniejszych miast podziemnych na świecie. Posiadają one szerokie ulice, przecinające wzdłuż i wszerz plantacje, wykute z tego samego kamienia, z którego zbudowana jest większość gmachów publicznych Paryża. Wzdłuż chodników podziemnych ciągną się rury z wodą, doprowadzaną dla zraszania plantacyj. Podziemia są znakomicie wentylowane i tak obszerne, że wrazie bombardowania stolicy lub ataku gazowego mogłyby w nich znaleźć schronienie setki tysięcy ludzi.

Właścicielem „miasta grzybów" jest rząd, który wydzierżawia plantacje hodowcom grzybów. Hodowla wymaga wielkich starań i zachodów, ponieważ grzyby ulegają często podczas wzrostu różnym cho-

robom. Przeglądu zbiorów dokonywa specjalny kontrolor sanitarny i gdy tylko zauważy, że część grzybów jest zepsuta, cała grządka, na której rosły, zostaje zniszczona, a na jej miejsce założona nowa.

„Miasto grzybów“ pod Paryżem jest największem centrum hodowli grzybów na świecie. Codziennie o 5-ej rano, przy świetle lamp acetylynowych zbiera się trufle, a następnie pakuje w kosze. Całe rano ulice miasta podziemnego rozbrzmiewają dźwiękami trąbek wielkich samochodów ciężarowych, na których przewożone są transporty grzybów na rynek paryski, oraz na dworce kolejowe, skąd eksportuje się je zagranicę.

Usychanie jaj.

Skorupka jaja jest porowata i może przez nią parować z masy jajowej woda, przez co jajo staje się lżejsze, a tracąc na wadze staje się tańsze. Jak dużo jaja tracą przez przetrzymywanie ich w gospodarstwie, a zwłaszcza przy nieodpowiedniej temperaturze, zamiast odstawiania ich natychmiast do jajczarni może się łatwo każdy przekonać ważąc jedne i tesame jaja co kilka dni.

Jeżeli będziemy pamiętali, że w jaju znajduje się dużo wody, ponieważ stanowi ona przeciętnie prawie trzy czwarte ogólnej wagi jaj, wówczas zrozumiemy z łatwością, jak duże straty ponosimy przez usychanie jaj. Równocześnie pamiętać trzeba, że przy usychaniu powiększa się t. zw. komora, której wielkość wskazuje na to, czy jajo jest świeże czy stare. A można się o tem przekonać łatwo, badając jajo pod światło. Nie trzeba dodawać, że jajo nieświeże będzie płacone taniej, aniżeli dobre. Najlepsza temperatura dla przechowywania jaj to 5 do + 6 stopni C. w temperaturze pokojowej jaja wysychają bardzo szybko, zwłaszcza, że wilgotność powietrza w izbach nie jest dostateczna.

Z powyższych uwag wynika jasno, że szczególnie nieoględny będzie ten gospodarz, który, przechowując nieumiejętnie jaja w domu, naraża się na straty.

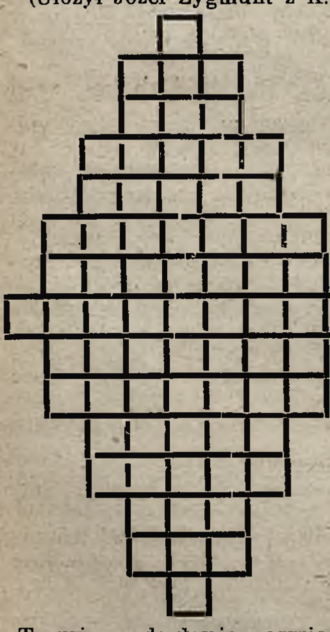
ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Hornik** w W.: Za przesłane mi książki p. t.: „Dziwy życia“ i „Przeklęte złoto“ serdecznie dziękuję. Można pogratulować „Bibljotece Nowości“, że je tak okazale wydała. Nie przypuszczałem nawet, że drukowane w „Roli“ „Dziwy życia“ dadzą dwa pokaźne tomy. Należy przypuszczać, że wielu z naszych Czytelników nabędzie obydwie Pańskie powieści w wydaniu książkowem, zwłaszcza, że i „Przeklęte złoto“ jest bardzo zajmującą powieścią. W sprawie, o której Pan pisał odpowiem listownie. — **Stanisław Kobylański** w M.: O węze sztuczną niech się Pan zwróci wprost do p. Edwarda Radomskiego, Klewań 2, a on natychmiast Panu żądaną ilość prześle. Trzeba podać wymiary ramek lub zaznaczyć tylko, czy to ma być węza do uli słowiańskich, amerykańskich, czy warszawskich. — **Karolina Kowalska** w R.: Truskawki najlepiej rozsadzać w sierpniu. Przez całe lato puszczają one tak zwane wąsy, na których wyrastają korzenie i liście. Gdy się te nowe odrośle zakorzenią, zabiera się je razem z trochą ziemi i wsadza na wyznaczone miejsce. Truskawki zasadzone w sierpniu, będą na przyszły rok obficie owocowały. — **Jan Kozik** w P.: Nie wydrukujemy, gdyż nadesłany utwór napisany jest bardzo niestarannie i po obydwóch stronach papieru, a my na przepisywanie nie mamy czasu. — **Ludwik Pierożek** w Ł.: Nadesłane humoreski bardzo dobre; wkrótce je zamieścimy. Łączymy pozdrowienia. — **Jan Sikora** z B.: Do końca roku na prenumeratę brak jeszcze na czwarty kwartał 3.40. Za ogłoszenie posyłamy wypełniony czek w „Roli“. — **Czesław Dzikowski** z Z.: Maciek za prezent bardzo dziękuje Panu Bogu, że choć jedna duszyczka się znalazła, która dała na „plaskie“ na Zielone Święta. — **Józef Kmiecik** w K.: Cena książki „Pszczelnictwo“ była podana w „Roli“ 2 zł. 50 gr. do nabycia w Warszawskiem Woj. Towarzystwie Pszczelarzy, Warszawa, Chocimska 29, m. 6.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Zygmunt z K.).



Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Zaimek przeczący. 3) Część twarzy 4) Roślina. Rzeka w Rosji. 5) Państwo w Ameryce Połud. 6) Imię męskie. 7. Najwyższa góra w Ameryce Połud. 8) Taniec staropolski. 8) Góry w Polsce 9) Melodja inaczej. 10) Półwysep na morzu Japońskiem. 11) Zaimek. 12) Rzeka w Afryce. 13) Spółgłoska.

Litery w środkowym rzędzie, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko sławnego astronoma

2. Zagadki.

(Ułożył „Górnik“).

I.

Wojciechow Kurce zmarło troje dzieci,
Światłość wiekuista niech ich duszom [świeci!
Więc im na cmentarzu kazał pomnik zrobić
I następującym napisem ozdobić:
„Biedne moje dzieci, zmarłe w kwiecie [wieku,
Więc chociaż „Ojcze nasz“ zmów za nie [człowieku!
Dwadzieścia sześć wiosen naliczyli razem,
Nim sobie spoczęli pod tak zimnym głazem,
Drugi od pierwszego starszy był trzy razy,
Trzeci od drugiego znowu tyleż razy,
By pierwszy i drugi pięć lat jeszcze żyli,
To wieku starszego razemby dożyli,
Lecz ich Bóg Wszechmocny wczas powo- [łał sobie,
Więc ja, ojciec, smutny, łzy leję na grobie“.
Ile każdy liczył wiosen,
Gdy sobie legł w cieniu sosen?

II.

Zasiadałem ja na tronie,
Lecz już dawno po mym zgonie;
Bez ogona niszcząc plony
Sieję zgrozę na wsze strony,
Co napotkam, wszystko ginie,
Chata, most, gdy się nawinie,
Lecz gdy głowę mi utniecie,
Wtedy mnie z łatwością zjecie.

3. Bilet wizytowy.

(Ułożył Józef Białek z Rz.).

DR. TYTUS E. UNIWECENTO

Z powyższych liter ułożyć zawód danej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 22 „Roli“: 1. Logogryf: Juljusz Kossak, 2. Szarady: I. Sahara. II. Dobroczynny. 3. Zagadki: I. Granit. II. Lin-Nil. 4. Tajemnicze bilety: I. Stany Zjednoczone. II. Profesor.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Jan Gara z W., Danuta Patyńska z W., Feliks Popielarczyk z S. A., Skalski z B., Karol Olma z S.

Nagrody otrzymają pp.: A. Skalski z B. i Danuta Patyńska z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nauczyciel: Janka, dlaczego w czwartej prośbie modlitwy Pańskiej mówimy: Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, a nie prosimy: daj nam chleba na cały tydzień, na cały miesiąc lub na cały rok?

Janka: Wszakby chleb spleśniał.

Podczas pożaru.

— Panie! a pan dlaczego nie ratujesz, przecież pan także jesteś członkiem ochotniczej straży ogniowej?

— Tak, jestem członkiem, ale... honorowym.

Zaleta.

Fajki gliniane mają przecież wielką zaletę przed wszystkiemi innemi.

— Jaką?

— Gdy padną na kamienie, nie potrzeba się już po nie schylać.

Podziękowanie.

Wielmożny Pan Michał Popow
Wytwórnia przyborów pszczelniczych, oraz pracownia blacharska, Kraków, ul. św. Tomasza l. 2.

Jako początkujący pszczelarz mam już zaufanie i przekonanie, że węza sztuczna, którą u WPana kupiłem zeszłego roku jest najlepszą węzą sztuczną dla pszczół. Dowodzi to, że węzę sztuczną dałem pszczołom bardzo późno, a jednak potrafiły ją dorobić i przezimować na niej, oczywiście dzięki tylko WPanu za dobry i czysty wosk no i dobre wykonanie.

I radzę, aby wszyscy początkujący pszczelarze kupowali węzę sztuczną tylko u WPana, która słynie z jakości, dobroci i taniości.

Jednocześnie proszę uprzejmie o przysłanie mi 3 kg. węzy sztucznej słowiańskiej.

Kreślę się z poważaniem — Lubera.
Lubera Wojciech, Nro domu 732, poczta Niepołomice.

Wszystkie zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 6 czerwca b. r.

Pszenica	28·50—29·00	Słoma długa	4·50—5·00
Żyto .	18·00—18·25	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	12·50—13·00	Koniczyna nasienn. czer.	110·00—115·00
Jęczmień .	15·00—15·50		
Fasola biała	19·00—20·00	Mąka żytnia	30·25—30·50
Grech zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	58·00—60·00
Siano słodk.	6·50—7·00	Otręby pszen.	9·00—9·50
Łubin żółty	11·50—12·00	Otręby żytnie	9·25—9·50
Konicz pastew.	7·50—8·50	Mąka czerw.	11·75—12·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 6 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·00 do 1·20 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawieniem klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.